№ 15. Warszawa, dnia 10 Kwietnia (29 Marca) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

KOSZTA ROZWOJU.

Jak olbrzymim i strasznym kosztem ofiar odbywa się nieraz rozwój pojęć i stosunków, przekonywają obecne rozruchy w Belgii. Nie ulega wątpliwości, że, po osądzeniu winnych, rząd jej zajmie się reformą ekonomiczną i poprawi dolę robotników, ale po jak okropnem uczyni to doświadczeniu!

Nigdzie w XIX w. wybuch lawy społecznej nie był równie wielki i równie niszczący. Stwierdzone obecnie fakty daleko wybiegają po za ramy zwykłych bezroboci i przypominają szereg scen rewolucyjnych. Nie możemy oprowadzać czytelnika po całej tej galeryi pożarów, grabieży, spustoszeń, ukażemy mu tylko parę obrazów najwymowniejszych, skreślonych przez korespondenta *Echa* akwizgrańskiego.

D. 25 marca robotnicy z Fleurus udali się do Châtelinau, Châtelet i Gilly, gdzie namowami i groźbami skłonili towarzyszów do przerwania pracy i zniszczyli w fabrykach i kopalniach wszystkie jej narzędzia. Nazajutrz banda, złożona około z 1,000 ludzi, uzbrojona w siekiery, drągi, rewolwery, napadła sąsiednie zakłady przemysłowe, gdzie również wstrzymała roboty i zburzyła, co mogła. Urósłszy do 3,000, posunęła się do Charleroi. Tu gniew swój wylała głównie na hutę szklanną Dorlodota: potłukła wszystkie zapasy towaru, podarła księgi, połamała sprzęty, wreszcie rozbiła olbrzymi piec, kosztujący 500,000 fr. Toż samo powtórzyło się w Jumet. Pastwą dzikiej zaciekłości padły zakłady największego przemysłowca w szklarstwie — Bandoux. „Patrząc na ten obraz zniszczenia — powiada korespondent — trzeba zdumiewać się, jakim sposobem w tak krótkim czasie dokonano go." Wszystko rozbito — a potem gmachy podpalono. „Złoczyńcy, pobudzeni ogniem, nie byli ludźmi, lecz furyami, które spadły na zamek." Formalnie zgładzono go z ziemi, meble zaś, dywany itd. wyrzucono na dwór i podpalono. Nie dość tego, wyprowadzono konie ze stajni, związano łańcuchami i podłożono ogień. „Okropnie było patrzeć, jak biedne zwierzęta wiły się w męczarniach i usiłowały wydrzeć się — daremnie. Ich cierpienia w połączeniu z zaczerwienionemi w odblaskach płomieni twarzami szalejącej masy stanowiły przerażający obraz." Wreszcie, śród krzyków wesołych i dzikich, otworzono piwnicę i wydobyto z niej około 3,000 butelek wina, a jednocześnie zapalono zamek. „Na pierwszem piętrze tańczyli rozwścieklení, śpiewając *Carmagnolę* — pod nimi, za nimi, ze wszech stron morze ognia, w którem — spłonęli."

Jak widzimy, nie było to zwykłe rozpasanie namiętności pijanego tłumu, ale orgia wściekłych instynktów, przebudzenie się zwierząt w ciałach ludzkich. W orgiach tych, na których palono żywcem konie i — siebie, zamilkł wszelki głos sumienia, znikł nawet najsurowszy socyalizm, nawet potrzeba odwetu, pozostała tylko żądza krwi, ognia i ruiny.

Kalejdoskop owej burzy tak szybko się roztoczył, tak wielokrotnie zmieniał, że organy rządowe i dzienniki belgijskie nie zdołały dotąd określić granic i następstwa wypadków, ani ocenić poniesionych strat w rzeczach i ludziach. Są to wszakże straty niezwykłe. Według bowiem doraźnego obliczenia *jeden* dzień w samym okręgu Charleroi kosztował: Bandoux 3,000,000 fr., Verreries nationales 1,000,000, Dorlodota 600,000, inne zakłady 5,000,000, razem 9,600,000 fr. Jeżeli do tej sumy dołączymy zniszczenie w całym kraju, to otrzymamy dopiero pierwszą ratę kontrybucyi, zapłaconej — rozwojowi społeczno-ekonomicznemu.

Mówimy: pierwszą, bo trzeba będzie pokryć drugą wszystkiemi nieszczęściami bezrobocia. Przemysł belgijski w najważniejszych swych gałęziach jest obecnie złamany wielkie przedsiębiorstwa zburzone, mniejsze — sparaliżowane, kapitał przerażony nieprędko odważy się na nowe obroty. Tysiące rąk pozostaną bez pracy, tysiące rodzin bez środków do życia. Kto tę klęskę złagodzi, kto zasianą w niej burzę wstrzyma?

Rząd belgijski będzie miał do rozwiązania zadanie bardzo trudne, tem trudniejsze, że nieznajdujemy w nim ani potrzebnych chęci, ani odpowiednich uzdolnień. Ze wszech stron musi on wysłuchiwać zarzuty, że zbyt lekceważył sobie owoce niedbałości, które obecnie dojrzały. „Właśnie Belgia — mówi *Berl. Tagebl.* — której ludność robotnicza stanowi największy procent całej — co już samo nie jest stosunkiem zdrowym — powinna była postarać się o zażegnanie niebezpieczeństwa socyalistycznego zapomocą udzielenia praw politycznych i wprowadzenia reform społecznych. Konstytucya belgijska, nabrzmiała swobodami i zapewniająca na wieczne czasy obywatelom nieskrępowane ruchy, nie uwzględnia wcale robotnika. Zbudowana na podstawie oligarchicznej i plutokratycznej, wszystkie prawa polityczne oddaje zamożnemu mieszczaństwu a większość narodu karmi frazesami o wolności... Klasy robotnicze nie posiadają tam przywileju wybierania posłów ani do ciał ustawodawczych, ani do rad gminnych i zapomniałyby zupełnie o swem obywatelstwie belgijskiem, gdyby go im nie przypominali poborcy podatkowi i komisye wojskowe." Zaznaczyć przytem należy, że na tych warstwach głównie spoczywa ciężar podatków i służby wojskowej, gdyż synowie

ojców bogatych za 1,600—2.000 fr. mogą się od niej uwolnić.

To upośledzenie tłomaczy nam po części, czemu wybuch był tak mocny a koszta społecznego rozwoju tak wielkie. Belgia pod tym względem stała na stanowisku wieku XVIII — obecna burza wprowadziła ją w XIX.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozruchy robotnicze w Belgii zostały już stłumione, ale teraz czeka rząd trudniejsze zadanie: znaleźć zarobek dla dziesiątków tysięcy ludzi pozbawionych pracy, co nie jest łatwem, ponieważ wiele fabryk zburzono, i wogóle ruch przemysłowy zupełnie prawie ustał. Na początek postanowiono rozpocząć budowę dróg bitych i w tym celu prezes ministrów zażądał od Izby 43 milionów fr. kredytu. Przedewszystkiem jednak przedsięwziąć należy gruntowną reformę stosunków ekonomicznych. Pisma nasze, które wyobrażają sobie Belgię jako „niewinny złemu raj ziemski,“ niewiedzą zapewne o tem, że nie ma w Europie kraju, gdzieby położenie klas pracujących było gorszem. Oba stronnictwa liberalne i zachowawcze, kolejno zmieniające się w rządzie nic nie zrobiły dla stanu robotniczego. Prawodawstwo fabryczne nie istnieje wcale, nie ma również instytucyj przezorności i pomocy. W wielu fabrykach dzień roboczy trwa od 13 do 15 godzin. Robotnicy belgijscy nie posiadają także praw politycznych, ponieważ do głosowania potrzebny jest pewien census majątkowy.

Bezrobocie w Decazeville trwa ciągle, wysłano tam znowu oddział wojska, które jednak zachowuje się dosyć przychylnie względem robotników, jak to przyznał nawet publicznie minister wojny. Dwóch redaktorów dziennika *Intransigeant* aresztowano, za to, że podburzali podobno tłum. Rochefort zwołał w Paryżu wielki meeting aby przeciw uwięzieniu temu zaprotestować.

W Medyolanie wybuchły także zaburzenia robotnicze, ale złatwością stłumiono je, zwłaszcza że żądaniu klas biednych co do zniżenia taksy na chleb zadośćuczyniono.

Książę bułgarski pomimo przedstawień i rad przyjacielskich do końca wytrwał w swym oporze. Nareszcie widząc, że nie doczekają się pożądanej odpowiedzi, przedstawiciele mocarstw podpisali protokół zmienionej ugody turecko-bułgarskiej, orzekającej, że książę mianowany zostaje gubernatorem Rumelii na lat pięć. Nie jest to jednak rozwiązanie sprawy, bo książę Aleksander postanowienia dyplomacyi zapewne nie przyjmie, trzeba więc będzie zmusić go do uznania woli mocarstw. Ale kto się tego podejmie i czy inne państwa pozwolą jednemu z pomiędzy siebie przywracać porządek w Bułgaryi? Turcya zaś niechce podjąć się tej roli, ponieważ zgadza się i teraz na dożywotnie gubernatorstwo.. W Sofii tymczasem przygotowują się widocznie do wszelkiej ewentualności i coraz głośniej mówią o przymierzu z Grecyą i Serbią.

Po załatwieniu (?) sprawy bułgarskiej dyplomacya zabrać się ma do greków. Zapowiadana oddawna demonstracya floty podobno wkrótce już nastąpi, ale i w tym wypadku osławiona zgoda mocarstw rozprzęga się, Francya bowiem oświadczyła, że w wystąpieniu tem udziału nie przyjmie. Turcya nie bardzo wierzy w skuteczność demonstracyi i wysyła wciąż nowe pułki na granicę; jeżeli zaś wiadomość o wkroczeniu wojsk otomańskich na terytoryum greckie jest prawdziwą, to wybuchowi wojny trudno już będzie przeszkodzić.

W Anglii opozycya przeciw projektom irlandzkim Gladstone'a przybiera szersze rozmiary, chociaż przeciwnicy projektowanych ustaw dzielą się na dwa obozy: jedni protestują przeciw parlamentowi odzielnemu, ale zgadzają się na wywłaszczenie landlordów, drudzy znowu przeciwni są wywłaszczeniu, ale uznają potrzebę samorządu. Takich, coby odrzucili oba wnioski jest niewielu. Wogóle opozycyi, zdaje się, więcej chodzi o sposoby wykonania reform, aniżeli o ich zasadę; z tem wszystkiem jednak projekty bardzo prawdopodobnie mogą być odrzucone. Irlandczycy grożą, że w takim razie wybuchnie wojna domowa, gdyby potrafili dowieść, że to rzeczywiście nastąpi, argument tego rodzaju przekonał by najprędzej praktycznych anglików.

Komisye sejmu pruskiego roztrząsają po kolei projekty anty-polskie i, rozumie się, przyjmują je bez zmian prawie, sejm zaś w pełnym komplecie odrzuca wszystkie przeciwne wnioski. W ostatnich czasach rozwiała się wymyślona pogłoska, że następca tronu nie pochwala polityki Bismarka. Owszem na jednem z posiedzeń rady stanu przyszły dziedzic korony niemieckiej przemówił za prawami, skierowanemi przeciw polakom, tak przynajmniej utrzymują organy urzędowe i inne zwykle dobrze informowane. Zastowanie nowych praw zaczyna się już na dobre, urzędnikom kolejowym polakom, którzy służyli w Poznańskiem, wymówiono miejsce, a raczej zaproponowano przeniesienie w głąb Niemiec. Ze szkół żeńskich wydalono wszystkie nauczycielki polki, nawet te, które uczyły robót kobiecych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NAUKA ZACHOWAWCZA.

W ostatnich czasach, wśród stronnictw zachowawczych Europy spostrzegamy prąd nowy, nader wybitny w swych tendencyjach, nader charakterystyczny w swych założeniach, zwłaszcza natury ekonomicznej. Mówimy mianowicie o tak zwanych „zachowawcach społecznych,“ o „partyi społeczno-feudalnej,“ „lidze chrześciańsko-socyalnej“ i wielu innych odłamach nazwy różnej, acz identycznego kierunku, zaczynających odgrywać coraz donioślejszą rolę. Ci to bowiem zachowawcy przewodniczą belgijskim zachciankom konserwatywnym i kierują nawą habsburskiej mozajki narodowościowej, oraz uchwałami Izby bawarskiej; w Węgrzech wytworzyli silną partyę agrarną, we Francyi starają się skonsolidować wszystkie swe siły dokoła hr. le Muna i „Asocyacyi katolickiej,“ w Westfalii i nad Renem organizu-

POWIEŚĆ.

CZYSTE SUMIENIE

przez

Aleksandra L. Kiellanda.

— Pani Warden, jeżeli się nie mylę? — zapytał przybysz. — Widziałem powóz pani na ulicy, a to jest zapewne jej portmonetka.

Pani Warden spojrzała — tak rzeczywiście, była to jej portmonetka; na gładkiej, białej, ze słoniowej kości oprawie odbijały się wyraźnie czarne litery: *E. W.*

— Przypadkiem zobaczyłem ją w ręku dziewczyny najgorszej w całym cyrkule, gdym przechodził około rogu ulicy. Jestem opiekunem biednych w tej dzielnicy — dodał.

Pani Warden podziękowała uprzejmie, chociaż ten pan nie podobał się jej wcale. Gdy odwróciła się, zobaczyła straszną zmianę, jaka zaszła na twarzach wszystkich biedaków, zamieszkujących brudną izbę.

Mężczyzna, który leżał do tego czasu w łóżku, siadł teraz na niem i utkwił oczy w dobrze utuczonego pana opiekuna; na ustach kobiety igrał złośliwy uśmiech, a nawet biedny, kulawy chłopaczek zwrócił się do drzwi, wsparł na cienkich rączętach i usiłował powstać, jak małe zwierzę.

We wszystkich tych oczach zapalił się ogień nienawiści, jakaś krwawa żądza, a pani Warden wydało się, że pomiędzy nią i tą biedną kobietą, z którą przed chwilą tak otwarcie i z takiem zaufaniem mówiła, otworzyła się teraz jakaś przepaść bezdenna.

— No, cóż, jak się masz Marcinie! — zawołał opiekun zupełnie innym głosem. — Domyślam się, żeś ty tam był dzisiaj w nocy naprzeciwko. Tak, tak, dzisiaj po obiedzie zabiorą cię; na dwa miesiące możesz się śmiało przygotować.

Słowa te spadły strumieniem zimnej wody na słuchaczów; zewsząd podniosły się krzyki; mąż i żona, dziewczyna z za pieca, mały kulawy chłopak, wszystko to zaczęło krzyczeć; nie można było odróżnić słów, ale tony, oczy, ręce wzniesione w górę i zaciśnięte, pokazywały, że mała, duszna izdebka napełniła się jakąś dziką, wybuchową masą cierpienia.

Pani Warden zbladła i podniosła się; opiekun ubogich otworzył jej drzwi i oboje wyszli. W sieni usłyszeli przeraźliwy śmiech. Musiał to być śmiech tej kobiety, tej samej kobiety, która tak czule i boleśnie mówiła o swych biednych dzieciach.

Pani Warden uczuła jak, gdyby gniew do tego człowieka, który tak straszną wywołał zmianę, a gdy wyszli na ulicę, słuchała go bardzo zimno.

Lecz powoli zmieniały się wyrazy ich twarzy; rzeczywiście, było tyle prawdy w tem, co mówił.

Opiekun zaś mówił o tem, jaką mu sprawia przyjemność widzieć, że taka pani okazuje tyle serca dla biedaków. A chociaż należy żałować, że najlepiej pojęta pomoc tak często w niewłaściwe wpada ręce, to jednak zawsze jest coś pięknego, coś wzniosłego w tem, że taka pani, jak pani Warden...

— Lecz — przerwała mu — czyż ci ludzie nie potrzebują w najwyższym stopniu pomocy?.. Doznałam takiego wrażenia, jak gdyby ta kobieta miała kiedyś lepsze czasy i gdyby jej tylko dość wcześnie przyjść z pomocą, możnaby ją jeszcze na wierzch wydobyć.

— Jest mi nader przykro powiedzieć szanownej pani, iż była ona zwyczajną publiczną kobietą — rzekł opiekun bardzo czułym, rzewnym tonem.

Pani Warden struchlała.

Jakto, więc ona mówiła z taką kobietą, mówiła o dzieciach? Nawet własne swe dziecko nazwała po imieniu, własne swe dziecko, które leży w domu, w czystej kolebce? Uczuła teraz potrzebę rychłego powrotu do domu, by zobaczyć, czy jej dziecko jest jeszcze zdrowem, jeszcze czystem.

— A ta młoda dziewczyna? — zapytała pani Warden z trwogą.

— A tak... szanowna pani zauważyła zapewne... hm, hm... w jakim ona pozostaje stanie?

ją związki chłopskie, po 19,000 domów włościańskich liczące.

Zasady teoretyczne ruchu tego podajemy, o ile uwidoczniły się w dziełach le Play'a i jego szkoły we Francyi, Lorenza Stejna i ks. Franciszka Hitzego w Niemczech. Streszczają się one w następującem: Walczyć z ideą nowożytną — praca napróżna, byłoby to samo, co gdybyśmy — chcąc drzewo całe powalić — niszczyli jego liście. Albowiem idea nie jest przyczyną pierwotną, zasadniczą, lecz jedynie następstwem czynników głębiej spoczywających, nie podmiotowej, lecz przedmiotowej natury, tkwiących w objektywnych warunkach produkcyi obecnej. Rzeczywiście, głównym pierwiastkiem burzącym porządek chwili obecnej jest rzecz martwa: maszyna. Tu wypada szukać źródła wszelkich zachcianek liberalnych i radykalnych. Z jednej strony działa ona niwelująco: zmiata poszanowanie dla zasady powagi czy to na polu rodzinnem, religijnem, czy też jakiemkolwiek innem. Wytwarza masowo i masowej również pożąda sprzedaży, tj. rozległych rynków i zorganizowanej sieci dróg komunikacyjnych; by mieć zupełną swobodę ruchów, wymaga wielkiej, a ruchliwej podaży rąk roboczych, tj. zniesienia ograniczeń, krępujących wolność przesiedlania się i przenoszenia. W ten sposób burzy wszelkie przegrody miejscowo-prowincyonalne i rasowe: owe ubiory malownicze i „niewinność“ wiejską, trzymanie się tradycyi świętej i wiary ojców. Stwarzając takie miasta wielkie, jak Manchester, Liverpol i inne, gromadzi w nich setki tysięcy ludzi, sieje zepsucie, wywołuje żywą wymianę gorących myśli i różne mrzonki niwelacyjne równości. W mieście nie przyświeca ludowi żadna powaga, którą widzimy na wsi: życie ruchliwe targa patryarchalność rodziny, zdziera szacunek z plebana, niszczy sympatyę ku strojom i zwyczajom tradycyjnym. Co więcej, stawiając kobietę obok mężczyzny, a dziecko obok rodziców, maszyna unicestwia w zarodku samym rodzinę i hierarchię ogniska rodzinnego; rujnując rzemiosło, narusza hierarchię cechową, a tem samem zasadę powagi wśród pracy. Dostarczając mnóstwa przyjemnostek, miasto odciąga robotnika od święcenia niedzieli i podkopuje jego religijność. Słowem obecne warunki produkcyi niwelują wszystko i wszędzie, zamiast różnobarwnej mozajki typów i własności średniowiecznej, wprowadzając szablonową postać równoprawnego obywatela. Fabryka — to prokrustowe łoże szablonu pożywa wszystko, niszczy wszelkie indywidualne i klasowe życie, prowadząc bezpośrednio do Falansteru“ — powiada Hitze, jeden z najwybitniejszych bez zaprzeczenia teoretyków przedstawionego ruchu. W szablonie równouprawnienia i jednobarwności co chwila rozpływa się całe życie społeczne — jaką taką przeciwwagę tworzą klasy średnie, łączące z kapitałem pracę, lecz ciągle zmiata je maszyna. Taniej produkcyi maszynowej nie zdoła kroku dotrzymać rzemieślnik; co więcej, w chwilach przesileń, od obecnego ustroju ekonomicznego nieodłącznych, ofiarą przedewszystkiem padają mniejsi przemysłowcy. Topnieją więc warstwy średnie, kapitał a praca stają wrogo na dwóch przeciwległych sobie biegunach. Z powodu zaniku tych warstw, przepaść społeczna potężnieje i to tem snadniej, ile że robotnik pozbawiony zostaje wszelkiej nadziei wyrwania się z swego położenia: nie ma, jak czeladnik średniowieczny, żadnych widoków na przyszłość. Unicestwienie owych klas średnich — to skazanie społeczeństwa na równowagę niestateczną, która poprowadzić musi jeszcze dalej w kierunku niwelacyjnym aż do zupełnego obalenia zasady powagi. Do walki wystąpią dwa obozy, na które dzielić się będzie każde społeczeństwo.

Wszystko złe pochodzi stąd, że w społeczeństwie obecnem, lubo jest wolność, nie ma porządku. Nie tak było ongi, w chwilach rozkwitu ustroju cechowo-feudalnego, w którego ramach najswobodniej ułożyć się mogła produkcya ówczesna: „kamień przytykał wtedy do kamienia w coraz szerszych, coraz śmielszych i potężniejszych kształtach, w niezakłóconej, mimo jaskrawej różnorodności, jednolitości.“ Nie było wtedy swobody, lecz istniał za to porządek niezłomny. Hierarchia cechowa podtrzymywała zasadę powagi, nadzór ze strony cechów regulował rozmiary produkcyi rzemieślniczej i powstrzymywał bezrządy rynku; stosunek patryarchalny czeladnika i ucznia do majstra wzniecał poważanie dla ogniska rodzinnego, oraz władzy mężowskiej i rodzicielskiej; kobiety nic jeszcze nie odciągało od gospodarstwa domowego. Każdy miał pole zakreślone, z którego nie myślał się wydalać; każdy znał powinność swą i ją pełnił, a różnobarwna mozajka własności feudalno-cechowej, hierarchij cechowych i t. d. wyrabiała różnorakie i ostro wyrzeźbione typy społeczne.

Z maszyną wszystko pierzchać poczęło. W ruchliwym odmęcie niwelizacyjnym zatarły się typy, a przedewszystkiem różne formy własności („Niwelacya własności jest zarazem niwelacyą ludu i charakterów.“) W imię więc porządku i tradycyj należy ukrócić przewrotowe podrygi maszyny, spętać jej szkodliwość, zachowując strony dodatnie. O powrocie do ustroju feudalno-cechowego nie podobna marzyć, gdyż organizacye ówczesne zbyt wąskie są na pomieszczenie obecnych sił wytwórczych. Wypada poszukać innych ram społecznych, któreby przystosowały życie zbiorowe do obecnych warunków produkcyi, jak to czyniły ukształtowania średniowieczne względem ówczesnych. Lecz w każdym razie organizacye te winny posłużyć za wzór. Zamiast być miejscowemi, winny rozciągać się na całe państwo; zamiast obejmować jedno jakieś rzemiosło, winny ogarnąć wszystkie identyczne „interesy“ ekonomiczne w „stan“ jednolity. „Idea zawodu“ („Idee des Berufes“) ma stanowić o stosunkach społecznych. Wielkie obszary ziemskie, kurye włościańskie, przymusowe związki cechowe, związki przemysłowców oraz handlowców, izby robotnicze — oto sposób zorganizowania państwa w stany oddzielne, a stanu w sobie samym. Każdy z nich mieć będzie swe przedstawicielstwo, zajmujące się jego interesami, a przedstawicielstwa te znajdą swój wyraz zbiorowy w przedstawicielu państwa; każdy stan mieć będzie zakreślone koło praw i obowiązków. Na miejscu kodeksu państwowego wstąpi stanowy i takież prawodawstwo; na miejsce obecnego ogólno-humanitarnego wykształcenia wprowadzone będzie stanowo-zawodowe; zamiast bezwzględnej wolności ekonomicznej — oddanie jednostki pod władzę korporacyj stanowych i zawodowych i ograniczenie prawa przesiedlania się itd., itd. Oto ideały, jak je wysnuli Plank

---

— Nie. Pan sądzi?...

Dobrze utuczony pan wyszeptał parę słów.

— Jakto z tym człowiekiem?... Z mężem tej kobiety?...

— Tak, szanowna pani... Bardzo mi przykro to potwierdzić, lecz musi sobie pani wystawić, że ludzie tacy... — tu znowu zaczął szeptać.

O nie, tego już było za wiele dla pani Warden. Zrobiło się jej prawie niedobrze i musiała się wesprzeć na ramieniu opiekuna. Spiesznie dążyli do powozu, który stał teraz w pewnem oddaleniu od miejsca, gdzie go zostawiliśmy.

„Niewzruszony“ bowiem wykonał przez ten czas sztukę, którą nawet ulicznik musiał uczcić odpowiedniem przekleństwem.

Posiedziawszy kilka chwil spokojnie na koźle, cofnął dobrze utrzymane konie krok za krokiem do rozszerzenia ulicy, widocznego tylko dla oczu pańskiego wykształconego stangreta.

Mnóstwo uliczników otoczyło powóz i robiło wszystko, co można, by konie z cierpliwości wyprowadzić. Lecz duch „niewzruszonego“ był pośród nich.

Zmierzywszy spokojnym wzrokiem odległość pomiędzy obiema stronami ulicy, zawrócił powoli dobrze utrzymane konie. Zwrot ten był dokonany pod tak ostrym kątem i na tak małej przestrzeni, iż sądzić było można, że powóz rozleci się na tysiące kawałków, lecz był dokonany zarazem tak zręcznie, że z każdej strony nie zabrakło ani jednego cala.

Teraz siedział znowu wyprostowany na koźle i mierzył wzrokiem odległość między stronami ulicy. Zanotował sobie nawet w pamięci numer policyanta, który był świadkiem tego artystycznego zwrotu. Zrobił to na wszelki przypadek, gdy wypadnie powołać się na cudze świadectwo, że dobrze włada sztuką powożenia.

Pani Warden przyjęła pomoc opiekuna ubogich przy wsiadaniu do powozu i prosiła go o odwiedzenie, przy czem podała mu swój adres.

— Do willi Abel! — zawołała na stangreta.

Dobrze wypasiony pan obnażył głowę z jakimś cukrowym uśmieszkiem i powóz ruszył.

Im bardziej oddalano się od miasta biednych, tem spokojniejsze stawały się kołysania powozu i tem prędszą jazda. A gdy nareszcie dobrze utrzymane konie dosięgły cienistej alei, prowadzącej obok willi bogaczy, zarżały z przyjemnością w czyste powietrze, woniejące zapachem kwiatów, unoszących się z okolicznych ogrodów, a stangret zgodnie z zasadami sztuki trzasnął trzy razy z bicza.

Pani Warden poczuła, jak to przyjemnie odetchnąć czystem powietrzem. To, czego doswiadczyła, a bardziej jeszcze to, co usłyszała od opiekuna ubogich, ogłuszyło ją zupełnie. Teraz dopiero zaczynała pojmować przepaść, wykopaną pomiędzy nią i tymi ludźmi.

Zawsze wydawało jej się za surowem, za ostrem zdanie Biblii: „Wielu jest powołanych, lecz mało wybranych.“

Teraz zrozumiała, że tak być *musi*.

Jak mogą ludzie tej miary, tak zepsuci, wznieść się do pewnej moralnej wysokości, odpowiadającej pewnej ilości surowych wymagań! Jak nieczyste muszą być ich sumienia! Jak mogą tacy ludzie oprzeć się pokusom życia!

Pani Warden wiedziała, co to są pokusy, musiała nawet sama walczyć z najniebezpieczniejszemi pokusami bogactwa, o którem tak ostro mówi Pismo św.

Zadrżała na myśl, coby się stało, gdyby ten pełen zwierzęcości mężczyzna i ta biedna kobieta dostali niespodziewanie bogactwo.

Rzeczywiście, bogactwo jest ciężką do przebycia próbą. Onegdaj dopiero proponował jej mąż przyjęcie małego, wspaniałego lokaja, prawdziwego angielskiego grooma. Lecz sprzeciwiła się temu i odparła:

— Nie, mój mężu, nie chcę mieć lokaja na koźle. Bardzo być może, że jesteśmy dosyć bogaci, by sobie na to pozwolić, lecz powinniśmy wystrzegać się pychy. Ja mogę zupełnie dobrze wsiąść i wysiąść bez obcej pomocy i nawet stangret niech dla mnie nie zsiada.

Tak przyjemnie było teraz pani Warden wspomnieć o tem; jej oko z zachwytem spoczęło na pustem, niezajętem przez lokaja miejscu, na koźle, obok „niewzruszonego.“

i Kaufmann, ci szermierze idei „państwa zawodowego“ („Berufsstaat“). Pierwowzór jego istnieje: — oparte niby na konstytucyonalizmie, a w rzeczywistości na „przedstawicielstwie interesów“ (Interessen-Vertretung“) państwo austryackie. Gdy wcieli się w życie państwo zawodowe, z jego organizacyą opartą na zasadzie powagi i asocyacyi, z jego warunkami dla wolnej konkurencyi, złagodzeniem starć między kapitałem a pracą, z przekształceniem walki politycznej stanu czwartego na stanową, społeczeństwo zostanie znów przystosowane do warunków produkcyi. „I kamień przytykać będzie do kamienia, sklepienie do sklepienia. I stanie się zadość hasłom Hitzowskim: „Nie swobody, lecz porządku!“ i „nie państwa, lecz stanów!“

Jak podążać ku owemu ideałowi? Pytanie to wprowadza nas w dziedzinę żądań dzisiejszych ze strony „społeczników zachowawczych.“ Z jednej strony idzie o opiekę i zachowanie tych warstw, które z natury swej zmierzają ku ustrojowi stanowemu, z drugiej znów — o spętanie takich dążności wieku, co targają zasadę powagi i ciągną społeczeństwo w przepaść niwelacyi. Przedewszystkiem należy zająć się zachowaniem stanu rzemieślniczego i włościańskiego, gdyż z samej swej istoty są one krzewicielami zasady powagi. Wśród rzemiosł osięgnąć to można przez wskrzeszenie przymusowych związków cechowych, nie miejscowych, lecz ogólnopańst wowych. Co do chłopstwa, wypada przedewszystkiem uchronić je od ruiny, a tego dopiąć możnaby przez zniesienie prawa równych działów spadkowych i wprowadzenie majoratów chłopskich, przez stowarzyszenia wytwórcze, spożywcze i kredytowe itd. Reformy te naglą, każda bowiem godzina podmywa rzemiosło i chudobę włościańską, unosząc z nich cząstkę po cząstce wraz z opoką dla odbudowania zasady powagi. A jeśli raz się uda przeprowadzić ochronę tych warstw, z natury zachowawczych, śmiało wtedy można kroczyć ku wzmocnieniu całego gmachu społecznego. Jak dokoła kryształu soli osadza się powoli roztwór, tak samo dokoła skrystalizowanego chłopstwa i rzemiosła osadzą się inne warstwy i uformują stanowe państwo — oczywiście pod naciskiem tego ostatniego. Równolegle z tą pracą, zasadzającą się na ochronieniu warstw średnich, iść winna walka przeciw destrukcyjnym wpływom maszyny, przeciw jej wymaganiom bezwzględnej wolności procederu i obiegu, oraz wszelkim jej niwelacyjnym następstwom. Trzeba następnie powstrzymać rozsprzęganie się rodziny przez zniesienie pracy kobiet i dzieci, wzmocnić święcenie niedzieli przez inne odpowiednie środki. Wreszcie należy złagodzić wzrastający antagonizm między pracą a kapitałem przez wprowadzenie ubezpieczeń dla chorych, inwalidów pracy, przez prawodawstwo fabryczne, które nietylko polepszy byt robotników, lecz nadto ograniczy walkę wśród najmitów. Jeśli byt robotnika zostanie zabezpieczony, napróżno doń szukać będą przystępu różne podszepty — nie da im posłuchu.

Na tem zakończymy krótkie nasze sprawozdanie, kładąc nacisk na okoliczność tę, że przestudyowanie dzieł Lorenza Steina, Hitzego i Le Playa jest nader płodne w korzyści umysłowe.

K.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, d. 28 marca.

Likwidacya banku kryłoszańskiego i nowe projekty ekonomiczne. — „Fundusz dla zakupna ziemi“ i „towarzystwo dla zakupna ziemi.“ — Uroczystości Szewczenki.

Wspominałem już poprzednio, że bank kryłoszański, założony przed ośmiu laty z takim szumem i pod przykrywką patryotyzmu, popadłszy w ręce rozmaitych Michałków i Kindlerów, doszedł wreszcie do stanu zupełnej niewypłacalności, i obecnie, pomimo półtora milionowej zapomogi z Petersburga, likwiduje. Likwidacya ta nie została wprawdzie zarządzona przymusowo, ale jest dobrowolną. Bank utracił kredyt i zaufanie, ksiąg jego nawet sąd nie przyjmuje jako dowodów; uznawszy raz, że są prowadzone niżej wszelkiej krytyki, tranzakcyj ani interesów żadnych nie robi, a pieniędzmi otrzymanemi z Petersburga wypłaca długi i opędza kosztowną administracyę.

Czy zupełne chybienie tego pierwszego kroku nauczy nas rozumu, o tem mimowoli jakoś chce się wątpić. Wszelkie ekonomiczno-finansowe projekty przywdziewają u nas togę romantycznego patryotyzmu, a to jest najgorszy znak. Wiadomą jest np. ogromna ilość licytacyj gruntów włościańskich w Galicyi. Otóż występuje przed kilku latami wiejski paroch, ks. Rużycki z projektem—utworzenia ze składek funduszu dla zakupywania takich na licytacyę wystawionych gospodarstw. Kto ma zakupywać, dla kogo i po co—o to nikt się nie pyta. Projekt uzasadniony nie argumentami społeczno-ekonomicznej natury, lecz ogromnym potopem patryotycznych frazesów — i składki zaczynają płynąć. Jakie? Za pięć lat zebrano niespełna 2,000 złr., a za tych pięć lat sprzedano pewnie więcej, niż 20,000 gospodarstw na licytacyach. Lecz za to na jakiego proroka i patryotę urósł za tych pięć lat ks. Rużycki! Gdy w r. 1884 *Diło* poruszyło tę kwestyę i obrawszy ją z patryotycznego szumu, przedstawiło trzeźwo i po prostu, ks. Rużycki nietylko że się śmiertelnie obraził, ale nadto wytoczył redakcyi proces, który naturalnie przegrał.

Obecnie na porządku dziennym rozpraw w dziennikach rusińskich stoją dwa przedmioty ekonomiczne, mianowicie: zalecane przez polaków towarzystwo ochrony własności ziemskiej, przeciw któremu ostro wystąpiły wszystkie pisma rusińskie, i myśl pewnego włościanina ze wsi Wołczuchowa, by rusini zakupili te 35,000 gospodarstw włościańskich, które są do sprzedania w zbankrutowanym banku rustykalnym. Projekt ten, rozbierany głównie w *Słowie* i *Prołomie* połączono z dawnym projektem ks. Rużyckiego i zamierzono stworzyć rusińskie towarzystwo dla zakupywania ziemi. Rozumie się, że skoro od planu przystępuje się do wykonania, natychmiast stara romantyka występuje znowu na jaw: włościanin, wnioskodawca, obliczył, że gdyby 3 miliony rusinów od każdej duszy złożyli po 10 centów, zebrał by się kapitał 300,000 złr. Ks. Rużycki zaś radzi w „Narodnej Torhowli“ przybijać puszki, w któreby na rzecz jego projektu wrzucano dobrowolne datki. Słowem, fantazya na

---

Pani Abel, którą zostawiliśmy przy *Bazarze* i materyałach na suknie, była bardzo zadziwiona, widząc powracającą już przyjaciółkę.

— Jakto już jesteś, droga Emilio! — zawołała. — Właśnie dopiero co odprawiłam moją szwaczkę; po tem, o czem mówiłyśmy, odeszła mnie zupełnie chęć sprawiania sobie sukni; zresztą mogę się jeszcze dobrze bez niej obyć.

— Każdy powinien tak postępować, jak mu nakazuje sumienie — odparła z cicha pani Warden. — Lecz sądzę — dodała — że można być czasem za nadto skrupulatnym.

Pani Abel spojrzała na nią z zadziwieniem. Tego nie spodziewała się wcale.

— Posłuchaj, czego doświadczyłam.

I pani Warden zaczęła opowiadać.

Odmalowała najpierw pierwsze wrażenie, jakie wywarł na nią duszny pokój i jego zdemoralizowani mieszkańcy, następnie opowiedziała o kradzieży portmonetki.

— Tak, mój mąż zawsze powiada, że tego rodzaju ludzie nie mogą się wcale wyrzec kradzieży — zawołała pani Abel.

— Obawiam się, że mąż twój ma więcej racyi, niż my sądzimy — dodała pani Warden.

Następnie opowiedziała o opiekunie i o niewdzięczności, jaką mu ci ludzie za jego codzienne o nich starania odpłacają. Lecz gdy wspomniała o przeszłości tej kobiety i o teraźniejszym stanie młodej dziewczyny, pani Abel uczuła się tak rozstrojoną, że musiała kazać przynieść portweinu.

Gdy flaszka i kieliszki stanęły na stole, pani szepnęła służącej na ucho:

— Niech tam szwaczka zaczeka.

— Możesz sobie wyobrazić — ciągnęła dalej pani Warden — lecz jest to prawie nie do... — i zaczęła szeptać.

— Co ty mówisz!... W jednem łóżku!... Wszyscy razem!... Lecz to oburzające! — zawołała pani Abel i załamała ręce.

— Tak, przed godziną i ja to uważałam za niemożebne — odparła pani Warden. — Lecz gdy sama byłam na miejscu i osobiście przekonałam się...

— Na miłość boską, Emilio, jakeś ty się mogła na to odważyć!

— Rada jestem, że odważyłam się; lecz powinnam być bardzo wdzięczna przypadkowi, który w samą porę sprowadził tam opiekuna biednych. Gdyż jest coś tak pociągającego w okazywaniu pomocy prawdziwej biedzie, która w czystości i pokorze żyje, że chociaż tam tego nie było, mało brakowało, bym złe skłonności tych ludzi poparła.

— Tak, masz racyę, Emilio! Lecz nie mogę zrozumieć, jak ludzie, w chrześcijańskiem społeczeństwie żyjący, ochrzczeni i konfirmowani, mogą dojść do potworności. Wszak mają oni sposobność, co dzień, no, przynajmniej co niedzielę, słuchać pouczających, wzmacniających i podnoszących w duchu kazań naszych księży; a po tem, co tu słyszałam od ciebie, widzę, że nawet Biblia jest u nich w niskiej cenie.

— A gdy pomyślimy — dodała pani Warden — że nawet poganie, zmuszeni do zadawalania się życiem i dobrem doczesnem, że nawet oni nigdy zbawionymi nie będą, gdyż mają sumienie...

— Które dosyć prawdziwie i głośno przemawia do każdego, kto *chce* słuchać! — zawołała pani Abel z przejęciem.

— O na Boga, to czyniono rzeczywiście — odpowiedziała pani Warden i z poważnym uśmiechem spojrzała przed siebie.

Przy rozstaniu przyjaciółki uścisnęły się jak najserdeczniej.

Pani Warden ujęła ze słoniowej kości rączkę drzwiczek, nie z trzaskiem, lecz powoli i ostrożnie.

— Do pani Labiche! — zawołała na stangreta.

W tejże chwili odwróciła się do przyjaciółki, która odprowadziła ją aż do bramy ogrodowej, i z cichym uśmiechem powiedziała:

— Teraz mogę sobie, dzięki Bogu, z czystem sumieniem obstalować jedwabną suknię.

— Jak Bóg na niebie śmiało możesz to uczynić — odpowiedziała pani Abel i ze łzami w oczach spoglądała na odjeżdżającą przyjaciółkę.

Wróciła do domu.

Tłom. *Ignacy M.*

fantazyi jedzie i fantazyą pogania. A co najsmutniejsza, że takie fantastyczne mrzonki ludzi niemających pojęcia o ekonomicznem życiu społeczeństwa, rozdymają się w pismach publicznych do coraz szerszych rozmiarów i nie znajdują w innych odpowiedniego przeciwdziałania, krytyki trzeźwej i rad pozytywnych. Nędza na Rusi!

W ubiegłym dopiero tygodniu obchodziły tutejsze Towarzystwa rusińskie „Proświta," „Ruska Besida," tow. im. Szewczenki, tow. pedagogiczne i Akademickie Bractwo wspólnie pamięć 25-tej rocznicy zgonu Szewczenki. Równocześnie uczciła tę samą pamiątkę „Sicz" we Wiedniu, inteligencya rusińska w Drohobyczu, w Tarnopolu itd. Obchód lwowski odbył się w formie wieczorka muzykalno-deklamacyjnego, na który zebrała się ogromna masa rusińskiej publiczności, przeważnie świeckiej i przeważnie młodszej generacyi. Szkoda, że program nie mógł zadowolnić oczekiwań: ani wstępna przemowa ks. dra Ogonowskiego, chociaż bardzo sumiennie opracowana, nie wlała nowego zapału i ognia w serca słuchaczów, ani deklamacya nie mogła nikogo zadowolnić. Boleśnie odczuwano brak włościan na tym „narodowym" obchodzie, podczas gdy w Drohobyczu miało ich być około 300. Świadczy to o pewnem odosobnieniu inteligencyi rusińskiej we Lwowie od okolicznego ludu, odosobnieniu któremu na przyszłość narodowcy powinni ze wszystkich sił zapobiegać.

I. Franko.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KÓŁKA ROLNICZE W GALICYI.

Lwów, w marcu.

Tak samo młodziuchną, jak *Macierz* a niewątpliwie bardziej doniosłą od niej co do znaczenia, wpływu i celu jest instytucya Kółek rolniczych.

Dwukrotnie w roku ubiegłym wypowiadała *Prawda* swoje o nich uwagi, ostatnim razem w lipcu (nr. 29) nawet wcale szczegółowo po smutnej pamięci walnym zjeździe w Krakowie, na którym głosami „szczerych przyjaciół" ludu narzucono pęta dalszemu rozwojowi Kółek i na straży ich prawomyślności postawiono rozlicznych opiekunów... Wobec tego nie będę się zbyt zapuszczał w krytykę obecnego ich stanu, zwłaszcza że, z natury rzeczy, w przeciągu kilku miesięcy dzielących zjazd krakowski od tegorocznego lwowskiego wybitne zmiany zajść nie mogły.

Zjazd walny odbył się w dniach 16 i 17 lutego. Uczestników było około 100 z tych 29 zastępców Kółek z rozmaitych powiatów. Jak zawsze w takich razach, odbyło się uroczyste nabożeństwo, potem prezydent miasta powitał zgromadzonych, wreszcie rozpoczęły się rzeczywiste czynności zjazdu, oczywiście przy współudziale niezbędnych do okraszenia rzeczy dygnitarzów.

Sprawozdanie zarządu wskazuje ciągły rozwój Kółek. Ma ich obecnie istnieć w kraju 326 w 488 gminach z ogólną liczbą członków 11,151, z których 3,856 przybyło w roku ostatnim. Kółka posiadają w swych czytelniach 678 czasopism a 13,772 książek. Dochody towarzystwa, opierające się przeważnie na zapomogach, otrzymanych od sejmu, towarzystwa gospodarskiego, towarzystwa wzaj. ubezpieczeń, od kilku rad powiatowych itd. przyniosły sumę 7,300 złr., rozchody 6,700 złr. z czego połowę pochłonęły koszta zarządu centralnego a dopiero drugą użyto na właściwy pożytek dla kółek, na książki i czasopisma 78 złr. na nasiona i maszyny 3,870 złr. itp. Sklepików istnieje obecnie 76 (o 23 więcej niż w roku 1884) a nadto w Jaśle jeden powiatowy skład hurtowny, rozwijający się nadzwyczaj pomyślnie, gdyż założony z początkowym funduszem 1,000 złr. sprzedał w przeciągu pół roku towarów za 28 tysięcy złr. Zresztą wspomina sprawozdanie o lustracyach gospodarstw włościańskich, przeprowadzonych w kilkudziesięciu miejscowościach przez delegatów zarządu i wypowiada ogólne zdanie, że „Kółka po większej części (?) rozwijają się pomyślnie i spełniają należycie swoje zadanie, pracując nietylko dla dobra swoich członków lecz i całej gminy; sprawozdania przeważnej części (!) Kółek wykazują, że ich członkowie bardzo pilnie uczęszczają na zebrania niedzielne i czytają wspólnie pouczające pisma i książki, radząc nad swemi potrzebami w myśl statutu i instrukcyi dla Kółek w obecności i pod kierownictwem przewodniczących."

Od tego radosnego nastroju odbijało nieco przemówienie prezesa towarzystwa Kółek rolniczych p. Bol. Augustynowicza, który zagajając rozprawy, przyznał otwarcie, że zapał dla Kółek u ogółu nie wzrasta, lecz stanowczo maleje. Członków wspierających miało towarzystwo poprzednio 378 obecnie liczba ich spadła na 307; wkłady tych członków przyniosły w pierwszym roku istnienia towarzystwa (1883) około 1.400 złr., w następnym 1,007 złr. a w roku 1885 już tylko 830 złr. Mimo to zdaniem p. Augustynowicza wobec nowej organizacyi, gdy do zarządu wejść mają delegaci wszystkich u steru życia publicznego stojących istytucyj, czynność towarzystwa pożytecznie i wszechstronnie się rozwinie.

Prawdopodobnie więc tylko przez nadzwyczajną przezorność o dobro Kółek dostał się następnie na porządek obrad wniosek o utworzenie stałego kapitału towarzystwa, „ażeby zarząd główny nie był ciągle zagrożony, że działalności swojej będzie musiał zaprzestać z braku funduszów" — co uchwalono. Z innych uchwał podnoszę wezwanie, ażeby zarząd poparł sprawę zakupu płótna krajowego dla armii i zajął się utworzeniem spółek tkackich, postarał się o wyjednanie zapomogi 4,000 złr. od rządu na utrzymanie dwóch wędrownych nauczycieli rolnictwa, o wprowadzenie w życie sądów rozjemczych po gminach (niektóre Kółka zaprowadziły u siebie już takie sądy, zagrażając członkom swoim wykluczeniem, jeżeliby się zwracali do trybunałów państwowych) o reformę nauki rolnictwa w seminaryach nauczycielskich, o założenie szkoły tkactwa w Korczynie lub Krośnie, wreszcie o pomoc inżynierów biura melioracyjnego Wydziału krajowego w drobnych sprawach melioracyi gruntów włościańskich i co do zawiązywania spółek drenarskich.

Oprócz narad w tych sprawach wysłuchało zebranie kilku popularnych, nawiasem mówiąc wcale udatnych, odczytów dra Rutowskiego o przemyśle tkackim, prof. Ciesielskiego o sadownictwie i p. Brajera o chowie bydła. Zjazd zakończył się wyborami do zarządu głównego, przyczem odbyła się gorąca agitacya, która widocznie była niezrozumiałą dla obecnych włościan a nawet wprowadzała ich w zdumienie. Oczywiście wybrano tylko samych opiekunów ludu i to prawie bez wyjątku utytułowanych.

Bezstronny widz, biorący udział w zjeździe, nie mógł wynieść z niego innego przekonania jak to, że Kółka rolnicze u nas w Galicyi są ustawicznie jeszcze w niebezpiecznym wielce okresie ząbkowania. Dziecko może przebyć tę fazę rozwoju szczęśliwie, wychodzi z niej całkiem zdrowo, ale może także stać się cherlakiem lub nawet zginąć. Tego ostatniego wypadku nie chcę przypuszczać, wierzę nawet, że bądź co bądź choćby w odleglejszej przyszłości Kółka wybiją się same na wierzch, cherlanie jednak mojem zdaniem jest obecnym ich stanem. I nie dziw. Z wyjątkiem nader nielicznych szczerych przyjaciół mają one tylko niepowołanych opiekunów nad sobą, a silny zastęp wrogów przeciw sobie. Podźwignienie włościan społeczne i ekonomiczne jest przedewszystkiem bardzo nie na rękę właścicielom ziemskim. Wchodzi tu w grę interes ekonomiczny. Gdziekolwiek Kółka przyjmują się rzetelnie, zapuszczają głębsze korzenie, a zwłaszcza gdzie powstanie sklepik, tam dochód właściciela ziemskiego, opierający się jak dotychczas, głównie na propinacyi, stanowczo upada. Czyż na to można pozwolić? Źródło tak pewne, tak wygodne — czyż właściciel jego dopuści dobrowolnie, ażeby wyschło? Na tym pukcie wręcz sprzeczne interesy obu warstw społecznych sprowadzają nieuchronne starcie. Właściciel ziemski znajduje nadto silne poparcie w arendarzu, któremu zresztą z postępem oświaty ludu odpada cały szereg łatwych a korzystnych zarobków. Gdy jeszcze dodam, że księża rusińscy ze względów narodowościowych stoją wrogo wobec Kółek rolniczych polskich a kler łaciński stale trzyma z dworem i przeważnie wykręca się tylko słodkiemi słówkami lub idealnem błogosławieniem pracy — łatwo zrozumiemy, dlaczego Kółkom nie mogą wyrosnąć zdrowe, silne zęby.

Współdziałają przytem jeszcze niektóre czynniki, ściśle, jak mi się zdaje, galicyjskiej natury. Niejednokrotnie można się spotkać ze zdaniem, że popieranie oświaty ludowej jest niebezpieczne dla kraju, bo wieśniak, nauczywszy się czytać i pisać, nie zechce pracować na roli. Nie zbywa też na takich, którzy publicznie wypowiadają zdanie, że nie mogą przykładać swej ręki do tego, ażeby np. furman lub lokaj więcej wiedział od nich. Mam szczęście znać jednego obywatela ziemskiego, którego łączą stosunki z najwyższemi osobistościami krajú a który otwarcie wypowiedział, że dopóki żyje, nie dopuści do tego, ażeby w jego wsi chłopi posiadali szkołę. Rzeczywiście na chlubę tego obywatela wyznać muszę, że jest wytrwałym. Deputacya włościan do p. starosty nic nie wskórała, poszła wyżej, wróciła także z niczem. Słyszałem później, że naczelnik deputacyi dostał potem 25 kijów i nawet nie odważył się upomnieć o swą krzywdę, przypuszczam jednak, że to wymyśliły złe języki.

Mógłbym jeszcze nie jedno poruszyć, co by tę sprawę bardziej rozświetliło, ramy listu nie pozwalają jednak na to. Zaznaczę więc już tylko jako punkt ostatni, że dla mnóstwa obywateli ziemskich cel Kółek rolniczych jest zgoła nieznany, a w jednem piśmie wyczytałem nawet notatkę, że w pewnej miejscowości sam pan „delegat" powiatowy pytał się przybyłego tamże lustratora: „Jaki jest właściwie cel Kółek, gdyż ja go wcale zrozumieć nie mogę."

Jeżeli te wszystkie dane zsumujemy, wtedy innem okiem musimy patrzeć na sprawozdanie zarządu Kółek, inaczej też wypadnie sąd o rzeczywistym ich stanie. Łatwo zrozumieć, dlaczego tylko 102 Kółka złożyły swe sprawozdania, dlaczego tylko 29 ich przedstawicieli przybyło na zjazd walny, dlaczego osłabł udział członków wspierających, dla czego tak troskano się o fundusz trwały na czarne godziny zarządu centralnego, dlaczego wreszcie posypały się szeregi skarg na przeszkody stawiane z rozmaitych stron przy zakładaniu i prowadzeniu sklepików wiejskich? (Zauważyć muszę, że tę ostatnią sprawę usunięto z porządku dziennego zjazdu dla zbadania jej na specyalnej naradzie, bezpośrednio w niej interesowanych, ale niestety o dalszym przebiegu rzeczy ani ogół zebranych ani publiczność już nie otrzymała wiadomości. Dziwne to rzuca światło

na postępowanie zarządu. Czyżby publiczna dyskusya miała szkodzić takiej sprawie?).

Pod jednym wszakże względem przyznaję działalności zarządu niewątpliwą zasługę. Mam tu na myśli lustracye gospodarstw włościańskich. Polegają one na tem, że lustrator przybywszy do jakiejś gminy i zbadawszy jej stosunki gospodarcze, przegląda gospodarstwa włościańskie i zaraz na miejscu w domu mieszkalnym, w stajni, oborze, na gruntach zwraca uwagę na dostrzeżone wady, wykazuje szkodliwe ich skutki i podaje najprostsze środki do ich usunięcia a potem jeszcze na zebraniu Kółka poucza w odnośnych materyach. Lustracye takie odbywały się już w roku 1884, a w ostatnim w jeszcze większych rozmiarach (razem w 83 gminach). Zarząd otrzymywał za nie od włościan podziękowania i prośbę o powtarzanie a wizytatorowie zauważyli, że rady ich bardzo chętnie przyjmowano i z nich korzystano. Na rok obecny wyznaczył sejm krajowy 1,000 złr. zapomogi w tym celu. Jasnem jest, że ta droga praktyczna na podniesienie stanu gospodarstw wiejskich może wpłynąć nadzwyczaj zbawiennie. Pragnąłbym jedynie, żeby lustracye powierzano tylko ludziom prawdziwie do tego uzdolnionym a dla włościan przychylnym, żeby coraz bardziej rozszerzano je i to na gminy, w których nie ma dotychczas Kółek, żeby wreszcie sprawa ta była więcej pod publiczną kontrolą. Taka np. *Niedziela* przecież powinna jak najszerzej zająć się tem, ogłaszać sprawozdania lustratorów, wejść w stosunki z włościanami, ażeby się rozpytywali o potrzebne dla nich wiadomości, umieszczać ich zapytania i dawać im fachowe odpowiedzi itp. Jeżeli to nastąpi, zmazać będzie można nie jedną winę ciążącą na inteligentniejszej części naszego społeczeństwa, winę popełnioną przez zaniedbanie należytego poparcia interesów włościańskich a nadto zyskamy niewątpliwie i na tem, że będziemy mogli daleko gruntowniej, niż dotychczas, wejrzeć w rzeczywisty stan kraju i to u jego podwalin.

Leszek.

BADANIA NAUKOWE.

Ernest Sulimczyk Świeżawski. **Rozmowy o dawnych dziejach.** Warszawa, 1886 r.

Każdy autor ma prawo nadać utworowi swemu taką formę, jaką uważa za najwłaściwszą; nie będziemy więc czynili zarzutu p. Świeżawskiemu, że w dziele swem wykłada całkowite dzieje Polski zapomocą pytań i odpowiedzi. Nie uważam bynajmniej formy dyalogowej za najlepszą i nie mogę zgodzić się z autorem, że „najtrudniej w dziełach grupować zdarzenia w historyozoficzne formuły, szeregować je w pewne, wyraziste, mówiące swą treścią i doniosłością, logiczne antecedencye, konsekwencye;“ sądzę jednak, że dla p. Świeżawskiego forma ta jest najbardziej odpowiednią. W dotychczasowych pracach swoich odznaczał się on zawsze dziwnie niesfornym wykładem, odbiegał od przedmiotu, gubił się w szczegółach niepotrzebnych. Zasoby erudycyi przytłaczały autora, a widocznie nie posiadał on zdolności systematycznego wypowiadania swych myśli. Nie można powiedzieć, żeby erudycya p. Świeżawskiego była surową, nieprzetrawioną, żeby nie zdawał sobie sprawy z całokształtu dziejów i nie posiadał własnych poglądów, ale nie zdołał on nigdy opanować należycie przedmiotu, okiełznać zbyt obfitego, dziwacznego nieraz kojarzenia się pojęć, zwłaszcza zaś wyrażać się prawidłowo i jasno. Forma krótkich pytań i zwięzłych odpowiedzi zmusiła niejako autora do porządku i ścisłości; trzeba też mu przyznać słuszność, kiedy mówi, że w dziele jego „dyalog ma dążność grupującą, klasyfikującą“ i dodać jeszcze, że suchy, kronikarski tok wykładu trzyma w karbach skłonne do zbyt szerokich rozmachów pióro.

Dyalog zresztą, obok wielu wad, posiada jedną, niezaprzeczoną zaletę; pozwala zawsze z wielką łatwością wyodrębnić pewną grupę faktów, posiadających łączność wewnętrzną, ale rozrzuconych w czasie i przestrzeni, co nie zawsze jest możliwem przy wykładzie potoczystym, który mniej lub więcej pilnować się musi chronologicznego porządku. P. Świeżawski skorzystał niejednokrotnie z tego przywileju formy, nie wyzyskał go jednak należycie. Łatwo było np. dać krótki zarys rozwoju sejmowania polskiego, o czem autor podaje tylko luźne wzmianki, nie wspominając wcale o dążeniu do reformy parlamentarnej w XVI wieku i o późniejszych usiłowaniach tego rodzaju. Nie ma także wcale krótkiej historyi skarbowości w Polsce, chociaż można było przedstawić przynajmniej budżety z epoki królów obieralnych, historyi starostw, władzy hetmańskiej itd. Natomiast obszernie bardzo uwzględnia autor tak nazwane przez siebie *antiquitates*, t. j. tło współczesne, co zajmuje prawie połowę dzieła. Wiadomości te stanowią główną wartość pracy p. Świeżawskiego. Krytyka drobnostkowa znalazła by i tu sposobność przyczepienia się do niektórych szczegółów, niefortunnych wyrażeń, niewłaściwego porządku pytań itp. Wszystkie te jednak braki i błędy z naddatkiem wynagradza bogaty zasób materyału, jaki autor w szczupłych ramach pomieścić zdołał. Mniejsza o to, że np. pytanie 447 brzmi dziwacznie: „jakie są stosunki płci prywatnych za Wazów,“ że odpowiedź na pytanie 448 przeczy w całym ciągu pierwszemu zdaniu, że uważny szperacz znajdzie kilka wiadomości podanych niekrytycznie lub niebędących w związku logicznym z sąsiedniemi — wszystko to są usterki drobne, łatwo do wybaczenia, jeżeli weźmiemy na uwagę, że trafiają się one tu i owdzie w obfitym zbiorze cennych szczegółów z dziejów życia wewnętrznego Polski.

Autor sam w przedmowie wyznaje, że owo tło dziejowe wygląda „jaskrawo, jednostronnie często,“ ponieważ „cnota się kryje a występek jawniejszy w źródłach.“ Gdyby tylko ta jednostronność, ale niestety — i bezstronność autora ściągnęła nań gromy krytyczne. Jakkolwiek młodsze pokolenie historyków naszych bierze za hasło jedynie poznanie prawdy, nie jest ono wszakże wolnem od tej patryotycznej obawy, która lęka się ujawnienia pewnych rysów przeszłości. Historya u nas, pomimo niezaprzeczonych postępów w metodzie badań, nie może jeszcze wziąć rozwodu z tendencyami politycznemi. Niedobrane to małżeństwo szkodzi i nauce i polityce. Dobrowolnie wykreślamy sobie granicę, po za którą krytycznemu wzrokowi badacza przejść nie wolno, kordonu tego pilnuje straż pseudo-patryotyczna, która gorliwie nie dopuszcza ciekawych śmiałków. Uprzywilejowanym historykom wolno czynić wycieczki za ten kordon, ale z powrotem poddać się muszą ścisłej kwarantannie i drobiazgowej próbie uczuć obywatelskich. Jeżeli zaś kto usiłuje bez zezwolenia przekroczyć wyznaczoną granicę, jeżeli z wycieczki swojej przyniesie kontrabandę zabronionych wiadomości, straż prawomyślna wstrzyma zuchwalca, lub — jeżeli tego uczynić nie może — osypie go gradem brutalnych wymysłów, wstrętnych insynuacyj i innych nie mniej dotkliwych pocisków. Dobrze jeszcze, że taryfa celna naszej prawomyślności ulega ciągłym zmianom w duchu liberalnym i liczba zakazanych towarów stopniowo się zmniejsza. Niestety p. Świeżawski sprowadził od razu taki znaczny transport historycznej kontrabandy, że nawet najłagodniejsi celnicy przerazili się lub oburzyli. Naprożno autor dowodzi, że „regestrujemy czyny ujemne przodków nie dla kalania własnego gniazda,“ naprożno broni się zręcznym argumentem że „zapaśnik walczący za jedną tylko sobie znaną stronę godła jest bezbronny psychologicznie, gdy w godle mu pokażą drugą, odwrotną stronę.“ Krytyka, nie mogąc pobić autora na polu faktów, czepia się szczegółów, błędów drukarskich, zwyczajnych przeoczeń lub też używa dowoli nieszlachetnych posądzeń albo drwin niesmacznych.

Dla kogo właściwie przeznaczył autor *Rozmowy o dawnych dziejach?*“ Oświadcza on, że pisze nie dla dzieci, ale sposób wykładu, zwłaszcza zaś pierwszych rozdziałów jest zanadto popularnym dla dorosłych i wykształconych czytelników. Książka p. Świeżawskiego najwłaściwszą byłaby dla młodzieży, ale nie jako podręcznik do nauki, tylko jako uzupełnienie wykładu nauczyciela. Autor zwraca szczególną uwagę na fakty mało znane lub mało wyświetlone, lub też takie, których przedstawienie i tłomaczenie dotychczasowe uważa za błędne, opuszcza natomiast nieraz rzeczy ważne, jeżeli są one powszechnie znane i nie podlegają żadnej wątpliwości. Stąd zapewne pochodzi wrażenie pewnej jednostronności, od którego czytelnik często uwolnić się nie może.

Pierwszy rozdział zatytułowany: uwagi wstępne — zawiera szereg pytań ogólnych, co to jest historya, państwo, rząd, skąd się rząd bierze, co to jest naród, czy może istnieć naród, nie będąc państwem itp. Są to w znacznej części pytania niepotrzebne, odpowiedzi zaś na nie zbyt pobieżne i ogólnikowe. Dzieje Polski dzieli p. Świeżawski na 11 okresów, z których kilka (jak np. 2, 3, 4, 9 i 11), obejmują bardzo krotki przeciąg czasu. Trudno przytem zrozumieć zasadę tego podziału. Dlaczego np. przeciąg czasu od 1138 (lub od 1146) do 1279 r. rozpada się na trzy okresy, które autor nazywa tak: Polska w podziałach z zasadą starszeństwa, Polska w dzielnicach z Krakowem w rodzie Kazimierza II i Przewaga różnych dzielnic czyli Krwawy, odbijany. Wszystkie te podziały są jeszcze zabytkiem starej historyografii, wiadomości, jakie dziś już mamy o ustroju pierwotnego państwa polskiego, nie pozwalają na to. Najprzód, zaczynając od Mieszka I, Polska ciągle była w podziałach i te wiadomości, jakie p. Świeżawski podaje o rozmaitych, mało znanych historykom nawet członkach, rodu Piastów (autor chce Pasztów), pozwalają mniemać, że nawet przy monarchach, dążących do jedynowładztwa, istniały drobne dzielnice, w których rządzili bracia ich lub krewni. Zarówno w 1, czy 2, 3 lub 4 okresie, państwo polskie nosiło charakter patrymonialny, podziały więc były rzeczą zupełnie naturalną, ta zaś okoliczność, że jeden książe krewniaków swoich wypędzał lub mordował, drugi zaś pomimo szczerych chęci nie był w stanie uczynić tego, jako czysto przypadkowa, nie może służyć za zasadę. Mniemanemu prawu starszeństwa należałoby dać raz już pokój, jeżeli istniało ono, to tylko w jednem pokoleniu i to nie jako zasada, ale bądź to jako skutek woli ojca, bądź też jako stosunek zwykły w rodzinie. Badania prof. Sergiejewicza, dotyczące pokrewnych stosunków na Rusi, bardzo dokładnie wyjaśniają tę sprawę. Dodać tu trzeba, że p. Świeżawski wydobyciem na wierzch kilku mało znanych szczegółów rzuca promień światła na ustrój i dzieje pierwotnego państwa polskiego. Do takich należy np. wiadomość o oślepieniu przez Chrobrego dwóch udzielnych władców Odylena i Prybuwoja, co potwierdza hypotezę Smolki, opartą na analogii stosunków czeskich, o formowaniu się monarchii piastowskiej.

Niepodobieństwem jest zdawać szczegółowo sprawę z książki p. Świeżawskiego, zawiera ona bowiem taką masę materyału faktycznego, że krytyka musiałaby objąć tom dwa razy większy od samego dzieła, w którem wszystkie fakty podane są w suchej, kronikarskiej formie. Krytyków oburzyły najwięcej uwagi o Bolesławie Chrobrym, którego autor nazywa również chrześciańskiem imieniem Magnusa (jak Mieszko I, Lambert, Kazimierz I, Karol itd.), epitet zaś jego — *chrobry* ryzykownie wyprowadza od niemieckiego trink-bier. Wzmianki, że „dużo pijał“ i „żenił się często a żony łatwo odpędzał“ wydały się obrażającemi dla twórcy monarchii polskiej, chociaż, jak wiadomo, te same wady posiadał Włodzimierz św. kijowski, i nikt o to hałasu nie robi. Ujawnienie tego faktu, że Kazimierz Wielki dla zysku zrywał umowy lub fałszował monetę, również nie zmniejsza zasług jego jako rządcy państwa i prawodawcy. Dlaczego by nie miał robić tego, jeżeli czynili to np. współcześni królowie francuscy a w nowszych czasach Fryderyk Wielki. Dziś już chyba nie wierzymy w to, że byliśmy i jesteśmy narodem wybranym, jeżeli zaś tak, to nie mogliśmy różnić się od współczesnych. Gwałty, skrytobójstwa, bezprawia grają taką samą rolę w dziejach naszych, jak i gdzieindziej.

Późniejsze czasy, zaczynając już od Jagiellonów w przedstawieniu p. Świeżawskiego wychodzą słabiej, prawdopodobnie dlatego, że z obfitszego znacznie materyału autor nie zawsze potrafił zrobić trafny wybór. Tło dziejowe tych epok, które znamy ze świadectw współczesnych, można było namalować wyraźniej i staranniej, tymczasem zbliżając się do nowszych czasów autor wyczerpuje materyał niedostatecznie i pomija wiele ważnych stron życia polskiego, gubi się zaś w szczegółach niepotrzebnych lub mało charakterystycznych.

P. Świeżawski zaprzecza lub uzupełnia mnóstwo faktów (np. utrzymuje, że Bolesław Krzywousty nie zabił wcale Zbigniewa, że nie istniała żadna Esterka, że Maciej Borkowicz nie umarł z głodu w lochu, ale o 14 lat przeżył Kazimierza, że akt z 1374 r. zwany Koszyckim jest właściwie Korczyńskim itd.), oraz prostuje wiele dat, na co jednak nie przedstawia dowodów. Ale ponieważ nawet najsurowsi krytycy nie zaprzeczają autorowi erudycyi, można mu chyba w książce popularnej zaufać. Błędy faktyczne, które dotychczas wykazano, polegają na przeoczeniu, bądź są zwykłemi omyłkami druku, lub też dotyczą takich drobiazgów, o których mówić nie warto. Szereg ich możnaby pomnożyć: np. w 1656, autor mówi o propozycyi oddania korony polskiej carowi Aleksemu i synowi jego Piotrowi Wielkiemu, kiedy ten ostatni urodził się w 16 lat później. Ważniejszym błędem jest zaliczenie Dregowiczów oraz Estów i Liwów do plemienia litewskiego. Ustępy o religii słowian — jak np. o Prabogu, również tłomaczenie mytów jako alegoryi zjawisk przyrody nie mają charakteru naukowego. To samo można powiedzieć o niektórych wywodach lingwistycznych autora.

Książka p. Świeżawskiego nie jest bezwątpienia wzorowym podręcznikiem do dziejów Polski. Chociaż wadliwa w układzie i słaba w wykonaniu, ale pełna ciekawych danych zasługuje ona na wzmiankę życzliwą. Pracy sumiennej i uczciwej, niesłusznie potępionej należy się, jeżeli nie zupełne uznanie, to przynajmniej szczere współczucie.

W.

ŻYJĄCA PRZEDHISTORYCZNOŚĆ.

II.

Ustalony powyżej punkt widzenia (zrównanie dzisiejszych ludów pierwotnych z przedhistorycznymi) — powiada Letourneau — otwiera przed nami rozległe widoki. Rozwój rodu ludzkiego śledzić odtąd możemy krok za krokiem, jak śledzimy rozwój embryonu. Historya, wspierana legendą, odkrywała nam tylko niektóre fakty, etnografia zaprowadzi nas do źródeł, odtworzy ogniwa pośrednie, teraźniejszość powiąże z przeszłością. Widzimy tu, jak maszyna parowa wiąże się z łupanym krzemieniem, parowiec z łódką pierwotną, pałac z grotą czwarto- lub trzecio-rzędowej ludzkości, religie aryjskie i semickie z animizmem murzynów. Metoda ta jest płodna w ważne następstwa. Przedhistoryczność żywa i martwa rozjaśniają się nawzajem. Letourneau objaśnia to na przykładach. Zastanawiano się np. nad tem, jakie znaczenie mogą mieć tak zw. *menhir'y* bretońskie, szeregi kamieni ustawionych pionowo; wątpliwości jednak znikły, gdy ujrzano, że mieszkańcy Bengalu wznoszą dziś jeszcze podobne kamienie — na upamiętnienie ważniejszych wydarzeń. Nie są to więc nagrobki, jak mniemano.

Jeżeli jednak metodyczna etnografia może nam wyjaśnić niektóre fakty przedhistoryczne, to daje nam ona jednocześnie cenne nader wskazówki dla zbadania całego rozwoju społecznego ludzkości. Oparci na niej, przenikamy daleko po za granice tradycyj historycznych. Całe wymarłe generacye wstają niejako z mogił. Nie potrzebujemy nawet zbytniego wysiłku wyobrażeń dla wywołania ich — widzimy je. Badamy tu w samym zaczątku tworzenie się społeczeństw: jest to najpierw bezrządna horda z okresu czwarto-rzędowego, jaka dziś istnieje jeszcze w Ziemi ognistej. Hordy te następnie organizują się w klany rodowe, wytwarzają się klasy, kasty i — monarchie. Z mieszaniny pierwotnej wyłania się rodzina. Kobieta, zaprzężona w monogamiczną niewolę, wyzwala się coraz bardziej, staje się człowiekiem. Podobnym przemianom ulegają formy własności. Na ziemiach należących do całego plemienia istnieje wspólna jeszcze własność rodowa, która rozpada się następnie na prywatną, indywidualną. Przyjrzeć się możemy przyczynom, wywołującym ten rozwój. Wiążemy w ten sposób historyczne początki z mitycznymi ongi czasami przedhistorycznymi; wyjaśniamy nawet wiele faktów współczesnych, w rozwoju bowiem ludzkim nic nie ginie, lecz wszystko przetwarza się, formy przytem istniejące trwają długo, jako objawy zmienione i szczątkowe, nawet wtedy, gdy pierwotne ich znaczenie zaginęło.

O ile wyższą jest ta metoda rozwojowa od historycznej! Nie mamy już powierzchownych opisów wojen i dworskich zabiegów, nie są to kronikarskie notatki, przechowujące nam fakty oderwane bez żadnego związku. Widzimy naprzód ludy pierwotne i poznajemy całość warunków ich bytu ich wyobrażenia i instytucye, następnie zaś kreślimy całkowitą genezę czasów obecnych. Wnikamy nietylko w porównawczą fizyologię społeczną, lecz zapoznajemy się z licznemi zmianami psychologii socyalnej. Tą drogą badamy pochodzenie naszych skłonności, instynktów, wierzeń, wyobrażeń i pojęć. Zapoznajemy się także z rozwojem zasad moralnych, badamy początki uczucia wstydu, godności własnej, sprawiedliwości.

Pozwolimy sobie zboczyć od wstępnego wykładu, ażeby powtórzyć za nim wywód sprawiedliwości, który profesor rozwinął w jednym z wykładów dalszych. Otóż instynkt samozachowawczy jest jednem z pierwszych niewątpliwie uczuć człowieka. Otoczony niebezpieczeństwami broni się i odpłaca pięknem za nadobne. Na tej podstawie wyrabia się pierwsze zwyczajowe *lex talionis*, biblijne: ząb za ząb — oko za oko. W pierwotnym ustroju plemiennym odpowiada za wyrządzoną krzywdę nie jednostka, lecz pokolenie całe, którego ona jest członkiem. Australczyk wyobraża sobie nawet, że śmierć nie jest objawem naturalnym, lecz krzywdą wyrządzoną przez nieprzyjaciela, przez kogoś z obcego plemienia — i za święty swój obowiązek uważa sobie pomścić śmierć kogoś z bliskich śmiercią kogoś z nieprzyjaciół. Wyrabia się atoli następnie własność prywatna: kobiety, dzieci, niewolnicy, oswojony inwentarz, rzeczy ruchome a jednocześnie zjawia się skłonność żądania odszkodowań nie w formie pierwotnej — oko za oko, lecz w formie posiadanych przedmiotów. Za przewinienia i zbrodnie płaci się wówczas posiadanymi przedmiotami. W tych warunkach własność jednostkowa jest wysoce szanowaną i kary za kradzież są najsroższe. Podobny ustrój spotykamy dziś u ludów afrykańskich, a był on panującym i w wiekach średnich. W dalszym atoli rozwoju wytwarza się i wzmacnia władza centralna, monarchiczna i panujący, który w czasach zemsty między rodami pozostawiał wykonanie sprawiedliwości usiłowaniom prywatnym, występuje teraz jako sędzia naczelny, pobierający na swój własny użytek opłaty za zbrodnie i przestępstwa. Władza centralna na tem materyalnie zyskuje, ludzie prywatni, poszkodowani tracą, wyrabia się atoli natomiast oderwane poczucie słuszności, które dla całego ogółu przestaje być kwestyą materyalnego wynagrodzenia, interesu. Tryumfuje zasada słuszności, uosobiona w postaci głównego sędziego.

Patrząc z tego punktu — mówi dalej L. — widnokrąg nasz rozszerzamy. Wiele faktów historycznych, niezrozumiałych pozornie, otrzymuje należyte wyświetlenie. Dziwić się np. możemy, dlaczego Agamemnon poświęca córkę swą Ifigenię dla pozyskania sprzyjającego wiatru; dziwić się atoli przestaniemy, skoro zobaczymy, że w społeczeństwach pierwotnych życie ludzkie, szczególniej zaś dziewcząt, mało jest cenione i że często dziesiątki i setki ich rzuca się na ofiarę siłom i bóstwom przypuszczalnie krwiożerczym i lubieżnym. Jeden z podróżnych opowiada nam, że aszantowie afrykańscy poświęcają na ofiarę dziewice „dla przeciwdziałania zastojowi w handlu.“ Stara technika chińska uczy nas znowu, że przy odlewaniu dzwonu dobrze jest wrzucić w roztopiony, metal nadobną dziewczynę — dzwon jęczyć ma wtedy i śpiewać głosem jej skargi! Znaczenie składnej etykiety dworskiej za Ludwika XIV przedstawi nam się w świetle jaskrawem, gdy zapoznamy się z etykietą niektórych dworów murzyńskich w Afryce. Na dworze władcy M'tera — opowiada anglik Speke — dworacy obowiązani są zbliżać się do panującego swego na czworakach, udając przytem radosne szczekanie psów.

Z jakiegokolwiek punktu — mówi pod koniec Letourneau — spojrzymy na historyę cywilizacyi, wszędzie dostrzeżemy fakt rozwoju. Anatomia porównawcza, embryologia, lingwistyka, socyologia... uczą nas o tem. Postęp, wolny często, lecz stały, jeżeli rozpatrujemy znaczne przestrzenie czasu — oto naczelne prawo rodu ludzkiego. Ogół postępuje zawsze, pojedyncze jego cząstki mogą czasami się cofać. Resztki ras zwyciężonych w walce o byt lub zapóźnionych w postępowym pochodzie pokrywają całą kulę ziemską, ludzkość jednak idzie ciągle naprzód! Starajmy się więc nie zostawać w tyle, nie być odrzuconem ogniwem lecz rolą, na której krzewią się i rosną lepsze gatunki wielkiej ludzkiej rodziny.

E. P.

JÓZEF BOGDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

I.

Ostatni z wielkich romantyków naszych położył się pod mogiłę. Pogrzebowy dzwon wezwał rodaków poety do uroczystego obrzędu, ale nie obwieścił im niespodziewanej i strasznej nowiny. Zaleski bowiem był już dla literatury polskiej tylko drogocenną pamiątką, bohaterem romantycznej dumki. Nie skutkiem tego wcale, że przestał pisać, ale głównie dla tego, że przestał oddziaływać na społeczność naszą. W ostatnich czasach rzadko go ona czytywała i na wiarę przeszłych pokoleń lub współczesnych znawców powtarzała jego sławę. Czemu? Nie rozumiała go już, nie dzieliła jego przekonań ani filozoficznych, ani politycznych, ani religijnych, a sam artyzm ukraińskiego śpiewaka nie mógł zatrzeć różnic i na przepaść dzielącą go od doby obecnej rzucić mostu. Pozornie zdaje się, że dzisiejsza muza poezyi polskiej czerpie swe natchnienia z tych samych źródeł, co Zaleski, a jednak ona się z nich wcale nie zasila. W literaturze naszej nie rodzą się tacy śpiewacy.

Przedewszystkiem był to ukorzony w prochu, odżegnywający się od „rozumu“ i ślepo trzymający się „podołka wiary“ ultramontanin, który słuchał, co mu „pacierz poszepnie do ucha.“ Według niego prawdą prawd jest „nieomylnie objawione słowo,“ a „miłość i boleść w kosmicznem jaju — białkiem i żółtkiem wygnańców raju.“ Ród człowieczy — to „grzeszna gromada,“ która w mroku i „na otchłaniach swe lepianki druzgoce,“ podczas gdy „Pan jak władał, tak włada“ i „krnąbrnych duchów bezprawia objawieniem poprawia.“ „Ludzie wypić chcą morze,“ zamiast „z kadzielnicą od ziemi dzwonić modlitwą.“ Powinni oni „urządzić w swej piersi filtr,“ oczyszczający męty bezbożnych autorów. „Ptaszek i kwiatek— to mi cud; szosy, koleje żelazne, rękodzielnie — to są drobnostki.“ Goethe — „Jowisz pogański jest wstrętnym,“ a jezuita „grenadyerem, który się nie poddaje światu, lecz umiera.“ Razi Zaleskiego „krytyczny zmierzch,“ z drugiej zaś strony „gołem okiem“ widzi on prawdy boże w dumaniu nocnem.

Zgodnie z tym nastrojem nieszczęścia narodowe tłomaczy religią i w religii widzi zbawienie.

> Rokoszanom w zakonie Pan nie błogosławi,
> Bowiem na śmieciach wieku stoimy plugawi
> Nieumyte bluźnierstwy napuszamy twarze,
> Pogwizdujem jak trzciny na stęchłej (?) moczarze*).

Ludzie „okopcili to zwierciadło, w którem jarzył Bóg oblicze.“ Zaleski napisał poemat fantastyczny, szeroko rozchwalony, a w istocie z jego utworów może najsłabszy, (jak sam wyznaje natchnienie mu „przeminęło“) — p. t.: *Duch od stepu*, w którym kreśląc naiwny obraz rozwoju, a raczej upadku świata, powtarza zwrotkę:

> Może człowiek się ukorzy,
> Gdzie tam! Wiek po wieku gorzej,
> Nowe puszą się narody.

Do tych puszących się narodów zaliczał on częściowo i polski — dlatego daje mu taką radę polityczną:

> Korz się, bij czołem przed Panem!
> Zaprawdęć zbliża dzień cudu —
> Tyś mu naczyniem wybranem! **).

Ta nuta wiary polityczno-religijnej, wiary w szczególną miłość boską dla nas i nadchodzący „dzień cudu“ brzmiała w całym romantyzmie polskim. Zaleski wyznawał ją tylko z większą może naiwnością, gdyż w ogóle, jako „maluczki pokorą,“ jako „kreska w niezmiernej liczb gromadzie,“ jako „lepianka gliniana,“ ani filozofem, ani politykiem nie był. Miał tylko nieograniczoną ufność w sprawiedliwości boskiej, poczucie krzywdy i sympatye ukraińsko-słowiańskie. Dusza jego „żyła twardo na siodle, a serce miał „polsko-ruskie.“ Był on gorącym patryotą, wypłakał potoki łez nad ranami narodu, modlił się za niego ciągle w wierszach, ale przedewszystkiem kochał Ukrainę i do niej z obczyzny tęsknił. W dumach swoich wypowiadał otwarcie skargi kozackie:

> Myśmy lachom byli wierni
> . . . .
> I cóż za to mamy w zysku,
> Oprócz więzów i ucisku? *).

Polska według niego — „to królewskie słowian gniazda,“ ale w wynurzeniach szczerszych przyznaje się, że mu bardziej chodzi o ojczyznę ściślejszą. „Nie za Polszczą biaduję ja, lecz za Kozaczę“ — „Ruś to treść pieśni mojej.“ W jednym z wierszów określa on „kwintę swej gęśli,“ której struny idą następującym porządkiem: „Bóg— świat — słowiaństwo — Polszcza — Ukraina.“ Otóż „piskliwa kwinta — insze *niemal głuszy*.“

> Struny mej gęśli . . .
> Wtórują wespół — a głośniej *dwie skrajne* **).

Tak namiętnie wyrywał się z obczyzny do Ukrainy, że pragnął „na piersiach tatarzyna pogruchotać kości,“ a tak nigdzie ona go nie odstępowała, że *słupy* Kolosseum wydają mu się, „jak step,“ w wędrówce zaś po okolicach Rzymu ciągle widzi kozaków. Wobec pięknych okolic alpejskich powiada: „wolałbym cicho żyć w moim *powiecie*.“

Nie należy jednak sądzić, ażeby Zaleski, po za wdziękami natury, kochał „Kozaczę“ realną. Bynajmniej, ta czarująca „zmora,“ która go do ostatnich chwil nie opuszczała, była Ukrainą malowaną idealnie, wymuskaną gładko, oświetloną bengalskiemi ogniami romantyzmu. Chmielnicki w niej to „łotr,“ natomiast kozacy i ich wodzowie rycerscy mężni i — wszyscy do siebie podobni. Jako liryk z natury, Zaleski zwykle sceny wspaniałe, groźne, dramatyczne malował często barwami łagodnej sielanki. Opisując w słynnym swym poemacie wędrówkę: *Przenajświętszej rodziny*, zapewnia, że „małżonkowie święci (jadąc), co jeno psalmów tkwiło im w pamięci, weiąż odmawiali;“ a gdy odpoczęli w drodze, nawet „Józefowy osiołek hasał.“ Tę samą naiwność spotykamy w obrazkach ukraińskich. Prosty kozak, spostrzegłszy w przejeździe na krużganku czarne oczy *księżnej*, „o nich śni już bez ustanku.“ Wyobraźnia nowożytnego i ukształconego poety nie okazała się krytyczniejszą od wyobraźni ludu, która nie liczy się z prawdopodobieństwami i różne postacie historyczne odciska według jednej formy. Dzięki temu sielankowemu oświetleniu i bezwzględnemu idealizowaniu przeszłości, w dumach, baladach i rapsodach Zaleskiego znika wszelka etyka, a przynajmniej etyka nasza. Głęboka religijność nie przeszkadza mu sławić czynów najokrutniejszych i podszywać szlachetnością instynktów najdzikszych. W losach swego narodu uznaje gwałt siły, ale gdy jego bohaterowie rzną się, napadają, gdy najmocniejszą sprężyną ich woli, celem ich życia jest krwawa hulanka, bandytyzm nieokiełznany — to uważa za bieg rzeczy prawidłowy, wzniosły. Naturalnie sam Zaleski nie dźwiga odpowiedzialności za tę sprzeczność, gdyż cały romantyzm tak potargał prawa etyki, jak przyrody. Sam poeta chwilami dostrzegał przez rozdarty obłok złudzeń różną od nich rzeczywistość i wtedy wołał:

> Cóż za mną? Oto pusty gwar i słup kurzawy!
> A przede mną widzenia — rozwiane niestety!

Wytrzeźwić się jednak nie mógł. Nie pozwalała mu na to ani dość szczupła wiedza, ani — nadewszystko — czysto uczuciowa natura. Zaleski był tylko lirykiem — lirykiem bardziej wdzięcznym, niż głębokim, figlarnym, niż poważnym. Plótł równianki z „kwiatów życia“ — „piękność, miłość, czucie, wiarę na ogniwa spajał złote.“ Wybornie charakteryzuje się w następujących wierszach:

> Świat odbija moja dusza,
> Jak zielony brzeg krynica;
> Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
> Wszystko tkliwe ją zachwyca;
> Łza na krótko oko ciemi,
> Częściej płoną w niem rozkosze...
>
> Gdy w polocie mym znienacka,
> Coś mnie draśnie lub ukole,
> Widzę w koło piękne cacka
> I jak dziecię koje bole.
> Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
> Błogo w miłym żyję błędzie *).

Nie było tak zawsze, lata przyniosły poecie dużo rozczarowań. Smutki zaczęły bić mu „do oczu i w uszy, jak tumany,“ modlitwa, która „w niebo bujała strzeliście — po ziemi w szelest rozwiała się pusty,“ pieśń — „chrypła w piersi jak w rozbitym dzwonie.“ Zwłaszcza tęsknota za krajem przy niemożności pogodzenia się z odmiennymi ludźmi i warunkami (bo „ukrainiec nie na Ukrainie i wiek przepłacze swój i marnie zginie“), dręczyła go ustawicznie:

> Jako barwinek gdzieś z bujnej ziemicy
> W piasek wszczepiony — schnąć począłem wcześnie.

Sechł istotnie, ale się w rdzeniu swoim nie zmienił, podróże, doświadczenia, wypadki osobiste, narodowe i ogólno-ludzkie nie rozszerzyły jego widnokręgu, nie wyryły mu w duszy głębokich przepaści, bo żadna burza, żadna wyniosłość nie przemieni skowronka na orła. Zaleski pozostał skowronkiem ukraińskim we Francyi, we Włoszech, wszędzie. A gdy mu smutki dokuczyły, nie wyrzucał z duszy bolesnej skargi lub buntowniczego protestu, lecz pocieszał się z dobrotliwą miną.

> W zaraniu życia śniłem rozkosznie na kwieciach,
> To słuszna, że po śniegu tupam w starszych leciech**).

Przypatrzmy mu się w jego właściwych, swobodnych, milutkich podlotach i pieniach.

(D. n.).

*) T. II, 47. Cytujemy według wydania lwowskiego 1877.
**) IV, 55.

*) I, 141.
**) IV, 194.

*) I, 177—180.
**) II, 218.

LITERATURA I SZTUKA.

ODCZYTY BRANDESA
(o literaturze romantycznej polskiej).

II.

Z tego ścisłego związku między geniuszem a narodem wytworzyło się w Polsce odrębne pojmowanie poety: jest on nie artystą, lecz wieszczem. Poezyę uważano za natchnienie, za boski szał, objawiający się w halucynacyach i improwizowaniu. Pod pewnym tez względem improwizacya Konrada w *Dziadach* jest szczytem romantyzmu polskiego.

Zagadki umysłu ludzkiego nie budzą tu takiego zajęcia, jak w Anglii lub Niem-

czech. Rozkosze i cierpienia myśli, walka z przesądem, tajemnice życia — wszystko to, gdzieindziej przedstawione z niezachwianą wiarą w siłę rozumu i ostateczne jego zwycięstwo, poezyi polskiej wydaje się tylko zuchwałą próbą lub wybuchem tragicznego zwątpienia. Dość przeczytać opis Odyńca bytności jego i Mickiewicza u Goethego w Weimarze. Polacy potrzebują wierzyć w potęgę młodzieńczego zapału, który przenika „Odę do młodości,“ w cuda odwagi i męstwa — dlatego sądzą, że cuda mają swoje miejsce w rządach wszechświata. Rozum w ich oczach musi być naturalnie darem bardzo ograniczonym. Gdyby Shelley — również wiecznie młody — wsławił się był za życia, gdyby on, a nie Byron, zawładnął umysłami poetów polskich, sprawa wolności myśli miałaby tu do stoczenia mniej ciężką walkę. Pisarze, nie raniąc uczuć religijnych ogółu, mogliby je zreformować i zmniejszyć przepaść, dzielącą idee wieku od pojęć ludu.

Jeżeli spojrzymy na utwory trzech romantyków polskich, dostrzeżemy, że w nich dwa tony panują wszechwładnie: opis okrucieństw i śpiew nadziei. Cierpienie rodzi tu zemstę i chęć odrodzenia narodu. Jeżeli pewien kraj, po długich niepowodzeniach i krwawych wojnach, dochodzi do rozkwitu wszystkich swoich sił, wydaje on sztukę, w której odbija się zadowolenie, dobrobyt i niepodległość. Natomiast w czasach niedoli i chybionych buntów, jeśli poeta chce, ażeby go słuchano i nie uważano za kuglarza, musi koniecznie potrącać takie struny, jak: niezadowolenie, boleść, zgroza, bezowocne wysiłki złamania niesprawiedliwości lub przynajmniej pomszczenia zgwałconego prawa. Robi to właśnie romantyzm polski. Myślą przewodnią tej poezyi jest, że wzniosły cel uświęca środki, że wszystko dozwolone jest tym, których Bóg opuścił a ludzie prześladują, że zbawienie ojczyzny jest najwyższem prawem. Ze słynnej wszakże trójcy wyodrębnia się Krasiński, który sam jeden głosi ewangelię powszechnej miłości. Podczas gdy u jego towarzyszów góruje ciągle zemsta (*Dziady*, *Grażyna*, *Walenrod*, *Lambro*, *Kordyan* itd.) on (w *Irydyonie*) chciał dowieść swemu narodowi, że zemsta sama nie tworzy nic trwałego a nienawiść jest bezpłodną; że lepszej przyszłości nie należy się spodziewać z tej krzywdy, którą wrogom naszym wyrządzić możemy, ale z tego dobra, które rozwijamy we własnej naszej istocie. Obok miłości bliźniego i nienawiści istnieje trzeci pierwiastek, który jedynie zapewnia przyszłość, mianowicie—praca.

Każda jednostka wie, że umrzeć musi, ale chce mieć pewność, że narodowość i język żyć będą nawet po jej śmierci. Podobnie myśl o ciągłem stygnięciu i przyszłem zlodowaceniu ziemi niweczy wszystkie nasze drogie złudzenia o ciągłym postępie cywilizacyi, który jest religią dla tych, co się wyrzekli objawionej. A przecież, jeśli nawet ród ludzki ulegnie zagładzie, postęp cywilizacyi nie mniej przez to godzien, ażebyśmy za niego walczyli. Wartość jego bowiem nie zależy od wieczystości trwania, tak jak wartość symfonii od jej długości. Indywidualność narodowa nie jest nigdy czemś dotykalnem. To ideał — a ideał istnieje o tyle tylko, o ile w niego wierzymy i uważamy za rzeczywisty. Bo jedynym dowodem, że rzecz jakaś istnieje po za granicami naszego mózgu i posiada rzeczywistość niezależną od naszych marzeń, jest to, że ją kochamy.

Literatura Odrodzenia posiada jedną wielką postać, od której właściwie zaczyna się poezya nowożytna — jest nią Hamlet Shakespeare'a. Otóż wszyscy poeci polscy mają rysy, przypominające księcia duńskiego: są wspaniałomyślni, szlachetnego rodu, skłonni do marzycielstwa. Od najmłodszych lat znajdują się w położeniu zbliżonem do jego położenia. Świat zachwiał się w swoich podstawach, a ich słabe ramię ma mu przywrócić równowagę; czują oni wewnętrzny żar młodości i niemoc w czynie. Charakter Hamleta przedstawia bardzo wiele odmian: marzyciel, badacz, sceptyk, rozneiwowany, mściciel. Poeci polscy rozwijają w swych utworach wszystkie te rysy. Istnieje wszakże między nimi znaczna różnica sił i uzdolnień. Krasiński jest łabędziem, Słowacki — pawiem, Mickiewicz — orłem. Ten ostatni pod wieloma względami przewyższa olbrzymów współczesnych i dorównywa największym geniuszom literatury. Jego *Pan Tadeusz* stanowi najudatniejszą epopeję nowożytną.

Ale jakkolwiek romantyzm dał narodowi polskiemu wiele wzniosłych uczuć i podtrzymywał go w trudnej walce, nie może on być katechizmem życia. Społecznie i literacko wszystkie żywioły dzielą się na dwie grupy: ludzi, uznających fakty dokonane—konserwatystów i ludzie idealnych dążeń—postępowców. Siedzą oni niejako w dwu pociągach, z których jeden biegnie, a drugi stoi, chociaż tworzy złudzenie, że on właśnie się porusza. Jest to wszakże tylko złudzenie—optyczne, w przyszłość bowiem bieży jedynie postęp.

Taki jest ogólny zarys wykładów Brandesa — zarys, któremu naturalnie brak mnóstwa ciekawych szczegółów i zestawień. W zestawieniach tych tkwi nawet może główna siła i wartość odczytów badacza duńskiego. Zaznaczyliśmy już dawniej jego metodę. Polega ona na wyborze z różnych literatur umysłów najznakomitszych i stworzeniu z nich jednej, która jest duchową karmicielką ludzkości i matką jej drobniejszych talentów. O ile H. Taine energicznie, wyraziście i barwnie kreśli każdą postać w jej najściślejszych warunkach miejsca i czasu, o tyle znowu Brandes rozpuszcza każdą w *głównych prądach*. Pierwszy malując np. Shelleya, uwydatnia każdą jego właściwość i okazuje nam pełnego Shelleya — drugi odbija go zapomocą podobieństw i zóżnic z innymi poetami. Chronologia, bibliografia, cała rzesza umysłów mniejszej miary, słowem, tkanki dla Brandesa nie istnieją, jego obchodzą tylko nerwy, serce i mózg każdego narodu.

Tak postępuje zawsze, a ta metoda ułatwiła mu utrudnione nieznajomością języka zadanie wobec literatury polskiej. Poznał trzech największych romantyków naszych i na nich oparł swoje wnioski. Jakie to są wnioski — widzieliśmy. Dotyczą one głównie, niemal wyłącznie zasad i pojęć, a więc tego pierwiastku, który tworzy *prądy*. Cała strona artystyczna, która np. w utworach Słowackiego doszła do szczególnej błyskotliwości, a w utworach Mickiewicza do niesłychanego bogactwa barw, wytrzymujących najściślejszą analizę — pozostała dla Brandesa w tłomaczeniach zakrytą i przez niego nietkniętą. Krytyka więc jego, ograniczona tylko do paru postaci i do ich idej, ma znaczenie tymi granicami ścieśnione. Ale jeżeli jej rezultat porównamy ze skromnością postawionego na wstępie zastrzeżenia, musimy go uznać za bardzo cenny. Znając tylko szczyty romantyzmu polskiego i tylko z odbić litograficznych, badacz duński nie mógł wypowiedzieć poglądów głębszych, ale rzucił szereg trafnych spostrzeżeń, w których przejrzeliśmy się dość wiernie. Nadewszystko zaś oświetlił nas doskonale w kategoryi stosunku, to jest w porównaniu z innymi narodami i ich płodami. Każdy utwór, każdego pisarza przeprowadził on przez mnóstwo zestawień, z których wydobyły się rysy znamienne. Z tej strony literatura polska nigdy jeszcze tak umiejętnie i szeroko rozjaśnioną nie była. Wobec tego i wobec szczerego zamówienia sobie przez prelegenta pobłażliwości dla nieuniknionych błędów, nie podkreślamy omyłek drobnych i sądów nienzasadnionych, a nawet pewnej chaotyczności w wywodach. Nie wytykamy również paradoksów (jak np. że kochanie czegoś jest dowodem bytu itp.), gdyż prelegent ukrył w nich widocznie gorącą dla nas sympatyę, do której z naciskiem się przyznał. Zresztą tego rodzaju sądy, jak pobudzające hasła, działają dodatnio, ożywczo. Przekonaliśmy się o tem zaraz po odczytach. Ile one wywołały uczuć, sporów, pochwał! Przebiegły po nas jak mocny prąd elektryczny. Zważywszy przytem, że Brandes tę samą cześć dla geniuszów naszych, którą u nas im złożył, przeniesie na widownię europejską, że bohaterów naszego romantyzmu wyprowadzi z zamkniętego nieznanym językiem odosobnienia i ukaże zapewne szerszemu światu, winniśmy jego bytność nazwać wypadkiem szczęśliwym i pożądanym. Po raz pierwszy chyba znakomity cudzoziemiec oddał nam tak wielką, tak korzystną i tak zacną usługę. Jeśli dotąd mieliśmy Brandesa jako znakomitego krytyka, odtąd cenić go musimy jako badacza, który zobowiązał nas do wdzięczności.

S.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wielkie mrowisko. — Jego zdolności przyswajania sobie nowych pierwiastków. — Wszechrozwój. — Książka arcybiskupa Guilberta. — Związek katolicyzmu z demokracyą. — Podróż na około świata. — Przesadne pretensye konduktorów. — Niegrzeczność Kocha i Pasteura względem Towarzystwa lekarskiego. — Zbytnia uprzejmość Kasy Mianowskiego. — Na co ona przydać się może.

Kościół katolicki przypomina czasem mrowisko: rozrzuć je—skupi się, przeorz laską — zapełni bruzdę, podpal — robaczki rzucą się na płonące patyczki i zgaszą ogień. W historyi niejednokrotnie burzono i podpalano to mrowisko — zawsze ono spoiło się i dotąd istnieje. Daremnie przechodzili po niem wielcy reformatorowie myśli ludzkiej: wycisnęli głęboko swe ślady, ale go nie zgładzili. Gdy Kopernik przytłoczył je potężną stopą, zdawało się, że rozgniótł całą budowę wraz z rojem— nie. I skąd pochodzi ta wytrwałość, ta odporność i żywotność mrowiska? Z jego uzdolnień przyswajania sobie wszystkich nowych pierwiastków postępu. Wrzućcie w nie kawał żelaza: mrówki go natychmiast obsiądą, obmacają, a zobaczywszy, że twardy i zużyć się nie da, pozostawią. Ale wrzućcie kawałek chleba, cukru, owocu—zjedzą go, choć on nie należy do ich zwykłego pożywienia. Żelazem dla kościoła katolickiego był zawsze materyalizm, chlebem, cukrem, owocem, rozmaite płody niepodległej myśli, którymi on nie zwykł się karmić, ale które w rozumnej przezorności spożywał, zwłaszcza gdy doświadczył, że one mu nie szkodzą. Pamiętamy wszyscy, jak mrówki papieskie roiły się na Darwinie i jak go szczypały — dziś wyłączywszy z jego teoryi pierwiastki, których połknąć i strawić nie mogły, wiele innych wessały i cieszą się swoją zgodą z duchem czasu. Nie pierwszy to wypadek i nie ostatni. Chociaż bowiem kościół katolicki szczycił się, że stoi na opoce i że śród niezliczonych przemian pozostawał ciągle niewzruszonym i jednakim, ulegał on również powszechnemu rozwojowi. Nie poznałby go dziś ani Piotr, ani Inocenty III. Jest to objaw bardzo naturalny. Wszystko bowiem, co istnieje, musi się rozwijać, dopóki istnieje. Gdy tron papieski przejdzie do muzeum watykańskiego, wtedy zacznie być niezmiennym.

Niejeden z szanownych a licznych czytelników moich, którzy należą do owego

mrowiska, osądzi powyższe słowa za zuchwałe bluźnierstwo, którem już tyle razy zgrzeszyłem. Przewidując to, zamiast się bronić, zapraszam moich przeciwników do wspólnego odczytania mej książeczki arcybiskupa z Bordeaux, Guilberta, która świeżo przyniosła światu kilka niespodzianek. Tytuł: *La démocratie son avenir social et religieux.* Otwórzmy ją mili bracia.

„Ruch demokratyczny porywa za sobą z nieprzypartą siłą świat ucywilizowany... Widzimy istotnie, że naokoło, u wszystkich naszych sąsiadów, w Anglii, Hiszpanii, Niemczech, Belgii, Austryi, żywioł demokratyczny rozszerza się ustawicznie...“ „Zamiast potwornych przywilejów i obrażających nierówności panuje obecnie równość wobec prawa i Boga, wszelka droga jest otwarta dla każdego bez różnicy urodzenia; korzyści i ciężary państwa słuszniej rozłożone, sprawiedliwość bezstronniejsza, niepodleglejsza i przystępniejsza...“ „Żadna siła ludzka nie zdoła powstrzymać tego prądu, który my uważamy za *dzieło Opatrzności.* Zapomocą bowiem środków, którymi demokracya rozporządza, zapomocą odkryć i wynalazków, przemysłu i handlu, łączących z sobą umysły i narody, idee rozchodzą się szybko i nigdy prędzej nie rozchodziły się. Jak je zatamować? Rozlatują się przez prasę, po drutach telegraficznych, w pociągach kolejowych i na statkach, pękają w bombach naszych bitew. Jesteśmy przekonani, że za lat kilka demokracya obieży świat *z naszą cywilizacyą chrześciańską...*“

Dalej zapewne przytoczy *Przegląd katolicki*, który mi dowiedzie, że katolicyzm nie przestawał być nigdy demokratycznym, co przyjmę z taką samą wiarą, z jaką przyjmuję wszystkie kruczki tego szanownego organu. Nie przeszkadza mi ona naturalnie zaznaczyć, że mrówki francuskie jedzą owoc, który spadł do ich siedziby, strącony siłą rozwoju, oraz, że w katolicyzm wsiąkły znowu krople postępu. Religia arystokratyczna chce z demokracyą niedługo objechać świat — bagatela! To postanowienie bardzo świeże. Niech ten związek, ręką tak wysokiego dostojnika kościelnego pobłogosławiony, zyska uznanie i naszego duchowieństwa. *Przeglądu katolickiego* nawet o zapowiedź ślubu nie proszę, bo — jak rzekłem — osądzi on zapewne, że tu nie może być mowy o małżeństwie pierwszem, lecz conajwyżej o weselu dyamentowem.

Jeśli wróżba arcybiskupa Guilberta się spełni i czcigodne stadło wybierze się istotnie w podróż poślubną naokoło świata, radzę nowożeńcom, ażeby nie słuchali dziwnej pretensyi konduktorów pewnej naszej kolei. Ci nienasyceni dobrodziejstwami zarządu demokraci, którzy w ciągu 47 dni mają aż 5 spoczynku i którzy w ciągu miesiąca nie sypiają zaledwie 22 nocy, przywłaszczali sobie dotąd prawo wchodzenia na stacyach do sal klasy II. Popełniali oni to nadużycie głównie dlatego, że w klasie III bufety, dzierżawione przez żydów, nakarmić ich mogły zaledwie śledziem i koszernym serdelkiem. Ale dziękuję państwu za jedzenie wspólnie z jakimś konduktorem, który ostemplowawszy mi bilet i odemknąwszy drzwi wagonu, nie powinien się do mnie przybliżać. Ja herbatę — on herbatę, ja pieczeń — on pieczeń, ja zupę — on zupę. Tego za wiele! Słusznie też zarząd kolei, przestrzegając granic demokracyi prawdziwej, nakazał konduktorom wchodzenia do sal klasy II. Słyszę zarzut arcyb. Guilberta:

— Ależ ci ludzie bywają zimą po 3 do 5 dni w drodze, prowadząc pociągi towarowe; przecież muszą się czemś ciepłem rozgrzać, a pasażerów drugiej klasy nie żenują, bo ich nie wiozą!

Daruje mi Jego Ekscelencya, ale jeśli prawo ma być szanowanem, niech będzie prawem zawsze. Zabijać nie wolno nawet wtedy, gdy nikt nie widzi. Jeżeli konduktor znęci się do sal klasy drugiej przy pociągach towarowych, to będzie wchodził przy osobowych, a wypędzony, odpowie:

— Przepraszam, zdawało mi się, że towarowy...

Demokracya ogłosiła już równość wobec sądów, praw obywatelskich, ale wobec bufetów — nie. To już demagogia, radykalizm, gwałcenie tradycyi, zresztą nie wiem co, ale coś bardzo paskudnego.

Nieprzyzwoitszem nazwać można tylko zachowanie się Kocha i Pasteura. Nasze Towarzystwo lekarskie, instytucya bardzo dbała o szczepienie w kraju postępów medycyny, oświadczywszy kiedyś kategorycznie p. Ochorowiczowi, że jego zamach na laseczniki przecinkowe unieważnia, było najmocniej przekonane, że przez wdzięczność i dla złożenia należnego hołdu przyjedzie do niego bakteryolog niemiecki i przedstawi wynik swych doświadczeń. Jeżeli w teatrze naszym występuje Kochańska, dlaczegożby w Towarzystwie lekarskim nie miał wystąpić Koch? Ale grubych obyczajów i nieznający się na grzeczności niemiec nie przybył, a nawet — jak jego znajomi utrzymują— wcale o tem nie myślał. Wtedy wysłała do niego p. Bujwida — Kasa Mianowskiego. Francuz grzeczniejszy od niemca — spodziewano się więc, że Pasteur pospieszy do naszego areopagu ze swą wścieklizną. Ale i ten prostak wizyty swojej nie zapowiedział. Wiedząc o tem wysłała do niego dra Bujwida — Kasa Mianowskiego. Że na nią Towarzystwo może być obrażone za tę zbytnią uprzejmość dla dwu badaczów — najzupełniej rozumiem. Ażeby zaznaczyć swą powagę wyznaczyło ono podobno konkurs z odległym terminem w zakresie bakteorologii, autor nagrodzony dostanie zapomogę na podróż do Kocha i Pasteura (jeśli ci naturalnie jeszcze żyć będą). Jest to piękne połączenie powagi, pospiechu i dbałości o naukę.

Jakkolwiek Kasa Mianowskiego postąpiła lekkomyślnie, pojmujesz czytelniku, po co ona istnieje. Między innemi i po to, ażeby wysyłać specyalistów za granicę do znakomitych badaczów dla poznania ich odkryć w dziedzinie medycyny wówczas, kiedy Towarzystwo lekarskie wyznacza na ten cel konkursy i słucha wykładu bakteryologii z ust człowieka, który jest bardzo gruntownym uczonym, ale w pracowniach Pasteura i Kocha nie był. Bez pomocy Kasy dotąd żaden lekarz warszawski tych pracowni by nie widział.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jeszcze jeden kwestyonaryusz i jeszcze kilka uwag o niemcach i *Dzienniku łódzkim.*—Przemysł wiejski.— Sitarze biełgorajscy. — Statystyka psów legalnych i wściekłych. — Rada Pasteura. — Okólnik ministra skarbu.— Niezwyczajny nawet u nas wypadek.— O co nam idzie.

Wszelkiego rodzaju kwestyonaryusze są dziś u nas w modzie. Za pomocą ich badamy bogactwa kopalne kraju, ratujemy podupadłe rolnictwo, poznajemy stan rzemiosł, propagujemy oszczędność, rozstrzygamy wreszcie sprawy wychowania i nauki. Maluczko, a zdołamy może rozwiązać w tęn sposób nawet zasadnicze pytania naszego bytu. Zanim to jednak nastąpi, pozwolę sobie przytoczyć skromny, ale ciekawy kwestyonarz, którego autorem jest jakiś rzemieślnik z Łodzi. Oto pytania:

1) Kto może i powinien zająć się urządzeniem w Łodzi kas pożyczkowych dla rzemieślników?

2) Kto może lub powinien zająć się urządzeniem w Łodzi odczytów dla rzemieślników?

3) Kto może lub powinien zakładać w Łodzi szkoły rzemiosłowe, których w mieście naszem nie ma ani jednej do dnia dzisiejszego?

Kwestyonaryusz posiada tę zaletę, że nie wymaga właściwej odpowiedzi. Wiemy, że ci, którzy mogą lub powinni, nic nie zrobią, nie ma więc po co ich wskazywać, dosyć jest podkreślić zapytanie.

Podkreślić i to grubo należy również cyfry, podane przez *Warszawskij Dniewnik*, a dotyczące opanowania przez niemców naszego przemysłu. Na sto kilkadziesiąt tysięcy robotników fabrycznych znajduje się około 17,000 poddanych niemieckich. Ładny to procent, ale daleko ciekawsze są szczegółowe cyfry. W Łodzi np. poddani niemieccy stanowią zaledwie 5% robotników, lecz na posadach administracyjnych i wogóle stanowiskach lepiej płatnych—80%. W głośnej fabryce żyrardowskiej na 7,600 pracujących wypada 600 cudzoziemców, czyli 8%, ale oficyalistów niemców jest 66%. W okręgu sosnowickim na posadach administracyjnych nie ma prawie wcale polaków.

Kto może i powinien zmienić ten stan rzeczy?.. Zapytałbym o to *Dziennik łódzki*, nie chcę wszakże stawić go w drażliwem położeniu, bo w porę przypominam sobie, że wydawca tego pisma jest dyrektorem fabryki w Żyrardowie.

W oświetleniu tych cyfr stanowisko niemców w przemyśle naszym nabiera innego nieco znaczenia. Okazuje się, że nietylko kapitały są niemieckie, nietylko wyższe posady znajdują się w ich rękach, przybyszom tym dostają się również lepiej płatne niższe zajęcia, krajowcy zaś pełnić muszą obowiązki roboczego bydła. Tu już nie o współzawodnictwo pracy niemieckiej chodzi, ale o przywilej niemiecki, który wytwarza sztuczną przewagę obcego żywiołu w miastach przemysłowych polskich.

Rozumiem teraz, dlaczego straż ogniowa łódzka, chociaż w przeważnej liczbie składa się z polaków, słucha cierpliwie komendy niemieckiej, rozumiem, dlaczego zarząd jej składa sprawozdanie również w języku niemieckim, kiedy zaś jeden z członków, p. Wiśniewski zażądał odczytania polskiego przekładu, przewodniczący ośmielił się tłomaczyć mu, że jest to zbyteczne, chociaż w końcu zadośćuczynił ciekawości natrętnego oponenta. Rozumiem także zachowanie się innych członków polaków, którzy popierali towarzysza swego... milczeniem. Zresztą cieszyć się trzeba, że milczeli, bo mogli przecie stwierdzić słowa p. przewodniczącego, że polskie sprawozdanie jest niepotrzebnem.

Spodziewam się, że w gronie tych niemych patryotów znajdował się i krewki kronikarz *Dziennika*, szkoda więc, że nie stosuje tej taktyki w innych wypadkach, w których wypadałoby mu raczej milczeć, aniżeli mówić za wiele. Kiedy np. zrobiono firmie Scheiblera zarzut, że perkal, którego szerokość oznacza się na 24, posiada zaledwie 22 werszki, trzeba było cicho siedzieć i nie kompromitować się obroną, że materyał „kurczy się w bieliku,“ gdyż łatwo na to odpowiedzieć: fabryka powinna wyrabiać perkal takiej szerokości, żeby po skurczeniu miał 24 werszki, jak głosi cennik. Kupującego nie obchodzi to wcale, kiedy i jakim sposobem przepadły owe dwa werszki, ma on prawo żądać tego, co mu obiecuje sprzedawca. Żeby rozumieć słuszność moralną i prawną tego wymagania, można nie mieć „elementarnego pojęcia o tkactwie,“ logika wyczajna najzupełniej wystarcza.

W zmienionej nieco formie powtarzam zapytanie łódzkiego rzemieślnika: kto może i powinien zaopiekować się drobnym przemysłem w kraju? Pytanie to zadaje również *Gazeta lubelska* i chociaż pozostawia go bez odpowiedzi, wskazuje natomiast, w jaki sposób podnieść przemysł

wiejski. Radzi ona wprowadzić do szkółek wiejskich naukę rzemiosł, stosownych dla danej miejscowości. Opiekę nad szkołą sprawować ma pełnomocnik gminny i rada nadzorcza, złożona z włościan. Autor sądzi, że zebranie gminne nie odmówi potrzebnego funduszu, jeżeli zrozumie, o co chodzi. Należy jedynie rzecz przedstawić jasno i zrozumiale, „tego zaś nikt inny nie potrafi, tylko ten, co zna lud, ma z nim styczność ciągłą i posiada jego zaufanie i poszanowanie.“ Bagatela. Ale skąd wziąć takich, bo zwykle bywa, że ci, co mają styczność z ludem, nie cieszą się ani zaufaniem jego, ani szacunkiem. I nie dla tego, żeby wszyscy nie zasługiwali na to, ale po prostu z powodu swego stanowiska sprzecznych interesów i zbyt jeszcze świeżych tradycyj. Jeżeli zaś przypadkiem znajdują się tacy wybrańcy, którzy mogą wpływać na lud, to dlaczegoż nie robią tego, co powinni, dloczego nie zachęcają bodajby do nauki rzemiosł?

W tym samym numerze *Gazety lubelskiej* znajdujemy wiadomość o upadku sitarstwa w Biłgoraju, sławnym niegdyś z wyrobów włosiennych i piękności niewiast. Przed kilkunastu laty jeszcze wyrabiano sit za 150,000 rs. rocznie, mężczyzni roznosili je nietylko po kraju, ale i po całej Rosyi, kobiety zaś podczas ich nieobecności starały się gorliwie o pomnożenie ludności. Ten podział pracy przynosił bardzo dobre skutki, wzrastał dobrobyt mieszkańców, wzrastała równolegle ich liczba, dzieci wprawdzie nie były podobne do swych tytularnych ojców, ale posiadały niezwykłą urodę — zwyczajne następstwo szeroko praktykowanego doboru płciowego. Dzisiaj produkcya sit zmniejszyła się więcej, niż o połowę, ludność męzka siedzi w domu, co przeszkadza doskonaleniu się rasy biłgorajskiej; najgorszem jest jednak, że zamożni sitarze ubożeją, dla zrównoważenia zaś tej klęski mają jedynie mizerną pociechę, że coraz częściej awansują z tytularnych na rzeczywistych ojców. Przyczyną tego smutnego stanu rzeczy jest podrożenie włosienia głównie zaś konkurencya zagranicy, która przysyła daleko lepsze wyroby. Sitarze biłgorajscy nie umieją wyrabiać sit, któreby mogły współzawodniczyć z zagranicznemi, przydałaby się więc tu specyalna szkoła, o której powinna pomyśleć inteligencya miejscowa — w swoim własnym i pięknych sitarek interesie.

Ostatni spis statystyczny wykazał w Lublinie zaledwie 68 psów, że tak się wyrażę — meldowanych, tymczasem w ciągu ostatniego miesiąca wściekło się w mieście 8, od jesieni zaś 48. W ubiegłym tygodniu dwa psy wściekłe pokąsały kilkoro ludzi. Okazało się, że właściciel jednego z nich zauważył, że pies nie je i rzuca się na ludzi, nie włożył mu jednak kagańca, widocznie wiadomość o kuracyach Pasteura doszła już do Lublina. Po co męczyć biedne stworzenie, kiedy jest taki „mechanik,“ który pokąsanych wyleczy.

Wiadomość o odkryciu znakomitego uczonego francuskiego dostała się już nawet do głuchych zakątków Wołynia, co więcej — mieszkańcy tamtejsi zawiązali nawet korespondencyę z Pasteurem. Pewien młody obywatel, ukąszony w nogę przez pieska pokojowego, jakkolwiek nie wściekł się, dostał wszakże napadów obłędu, które trwały dość długo, i wyrażały się w obawie kobiet, a raczej ożenienia. Rodzice jedynaka zwrócili się z zapytaniem do Pasteura, który pacyentowi wścieklizny nie zaszczepił, ale zalecił poradzić się miejscowych lekarzy, a skoro chory poczuje się lepiej, natychmiast bez pytania ożenić go. Odpowiedź uczonego wywarła sama przez się korzystny wpływ na zdrowie młodzieńca, który nabrał nawet ochoty do żeniaczki. Teraz znowu rodzice wybranej panny interpelować mają Pasteura, czy małżeństwo z konkurentem, pokąsanym przez wściekłego psa, nie będzie dla ich córki szkodliwem. Jeżeli wiadomość ta nie jest farsą, to naiwni obywatele z Wołynia złożyli taki dowód głupoty, że nawet dla tej upośledzonej prowincyi jest ona niezwykłą.

Pisaliśmy już niejednokrotnie o nadziejach i żądaniach cukrowników, obecnie zaznaczamy tu nieprzyjemną dla nich niespodziankę, jaką ministeryum skarbu rozesłało w formie okólnika do właścicieli cukrowni. Władza finansowa oświadcza, że dalsze wydawanie premij nie będzie miało miejsca i że w ogóle pp. cukrownicy na żadne szczególne ulgi liczyć nie powinni, ponieważ rząd ma na celu interesy spożywców miejscowych, nie zaś dostarczanie zagranicy taniego cukru kosztem ludności i skarbu państwa. „Co do kwestyi normowania produkcyi tą lub ową drogą, ministeryum uważa za potrzebne oświadczyć, że jest to obowiązkiem samych fabrykantów i że krępowanie, a nawet poddawanie regulaminowi przemysłu nie jest rzeczą administracyi. Wszystkie następstwa nadmiernej produkcyi winny spaść na nieoględnych wytwórców.“ Jasno powiedziane, nieprawda, szanowni panowie, którym argumentacya ogólnikowa nie w smak poszła. Trudno, ale jeżeli uznaje się zasadę wolnego współzawodnictwa, trzeba przyjąć wszystkie jej konsekwencye. Dotychczas p. minister skarbu przemawia jako b. profesor ekonomii politycznej, ale w końcu dodaje jako praktyczny polityk taką obietnicę: żeby zapobiedz „spekulacyjnemu obniżeniu cen cukru, ministeryum postanowiło obniżyć taryfę celną. — Jest to wielka ulga — dla spożywców, którzy mogą spodziewać się teraz, że ceny cukru nie pójdą w górę, nawet przy powszechnej zmowie producentów.

Wiadomym jest opłakany stan dróg naszych w jesieni i na wiosnę, wypadek przecie, o jakim donosi *Gazeta lubelska*, zasługuje na zaznaczenie. O kilka wiorst od miasta gubernialnego, pomiędzy wsią Abramowicami i osadą Głuskiem na trakcie — *utonęło* troje ludzi, jednego topielca nie zdołano nawet odszukać w ciągu dni kilku. Proszę tylko czytelników zastanowić się uważnie, ludzie toną nie w rzece, lub strumyku, ale na bitej drodze, przeznaczonej dla komunikacyi wozowej — doprawdy! uwierzyć temu trudno.

Ta sama *Gazeta lubelska* donosi, że w folwarku Zwierzyniec włościanin Buczak, pracując przy młocarni, pochwycony został przez koło rozpędowe i zabity na miejscu. „W danym razie — powiada *Gazeta* — stanowczo skonstatowaną została nieostrożność, podanie więc jej za przyczynę katastrofy, tak w tym, jak i w innych wypadkach, pisma warszawskie, mające za dewizę *prawdę*, zechcą uważać zawsze za fakt istotny, a nie grzeczność z naszej strony.“ Chciałbym, ale, niestety i w danym razie muszę wyznać, że przyczyną nieszczęścia nie była nieostrożność, ale niedbalstwo właściciela młocarni, który nie osłonił w odpowiedni sposób koła rozpędowego. Jużci-ż w każdym prawie wypadku nieostrożność gra pewną rolę, ale nam o to chodzi, żeby nie pociągała ona za sobą tak smutnych następstw, jak kalectwo lub śmierć człowieka. W tem leży właśnie różnica zdań naszych.

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Moskowskija Wiedomosti dotychczas życzliwe bardzo dla niemców, zmieniają teraz nieco swe zdanie:

„Rząd pruski wskazał nam przykład troskliwości o interesy narodowe, wysyłając z granic swych wszystkich poddanych rosyjskich. Ks. Bismark *miał prawo* użyć tego środka radykalnego, który narobił tyle wrzawy nawet w naszych dziennikach, domagających się nawet, jak niektóre z nich przynajmniej „represalij“ w postaci ryczałtowego wypędzenia niemców z naszych gubernii Zachodnich. Istotnie powinniśmy strzedz granic naszych od podobnych zamachów sąsiedzkich, ale nie idzie za tem, żebyśmy rządzili się ideą odwetu za środki, do jakich uciekł się Bismark. Przyjazne stosunki między obydwoma cesarstwami wyłączają wszelką możliwość nawet przypuszczenia, aby nas chciano obrazić w sposób wymagający represaliów. Ale też same stosunki przyjaźni nie ucierpią, jeżeli Rosya skorzysta z tych samych praw, na które powołają się Niemcy, i usunie z pogranicz ów swoich zachodnich wzrastający ustawicznie obcy żywioł.

Nie idzie zatem wszakże, abyśmy uciec się mieli do tak surowych środków, jak rząd pruski. Możemy oto zaproponować niemieckim fabrykantom, oraz napływającym do nas przesiedleńcom, aby opuścili nasze okolice zachodnie i udali się nie z powrotem do Germanii, gdzie istotnie jest ciasno, ale do wschodnich prowincyj Rosyi, gdzie przestronno i dla nich i dla nas, i gdzie może rozwijać się konkurencya przemysłowa w jednakowych dla wszystkich warunkach.“

Swiet z powodu tego artykułu dodaje:

„Teraz, skoro „niemcy tak podnieśli nosa, snać nadeszła już pora dać im szczutka po tym nosie.“

Każda rzecz ma swoją historyę. Kiedy zaczęło się ostatnie powstanie, tutaj, w Petersburgu, b. feldmarszałek hr. Berg napisał memoryał opiewający, że najlepszym środkiem pokonania polaków byłoby kolonizowanie ziem polskich niemcami. Wielu rosyan oponowało temu, utrzymując, że z uwagi na bliskość Niemiec projekt to bardzo dla samej Rosyi nieoględny. Ale hr. Berg nie cofnął swego pomysłu, i kiedy został namiestnikiem, nieraz poufnie zwierzał się z myślą, że najlepszem rozstrzygnięciem kwestyi polskiej byłaby germanizacya zawiślańskiej części Polski, a nawet oddanie jej Niemcom. Hr. Kotzebue także był tego sposobu myślenia. W owej to epoce wzmógł się szczególniej napływ niemców, i administracya żadnej temu zapory nie stawiała, owszem dopomagała do tego. W Berlinie patrzono na to niesłychanie mile i świadczono Bergowi i Kotzebuemu predylekcye jako pierwszym, najmilszym rosyjskim mężom stanu.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Opłata. Pobierający stypendya z prywatnych zapisów obowiązani są obecnie opłacać na rzecz skarbu 3% od sumy stypendyum.

Rewizya fabryk pod względem sanitarnym, oraz bezpieczeństwa dla robotników wkrótce dokonaną będzie w Warszawie. W tym celu ułożono już odpowiedni szemat.

Porankiem muzykalno-dramatycznym uczczono 25-letnią działalność dyrektora orkiestry, p. Lewandowskiego. Odegrano przytem po raz pierwszy *Anteę* W. Okońskiego.

Sądy. Wczoraj w Sądzie Okręgowym rozpatrywaną była skarga p. Śleżko-Zapolskiej przeciw p. J. Popławskiemu, autorowi krytyki o jej *Akwarelach* i redaktorowi *Prawdy*. Sprawozdanie szczegółowe podamy w numerze następnym.

Zmiany. Instytucya sądów pokoju ma uledz pewnym zmianom, prezes będzie mianowany z liczby członków sądu okręgowego, kompetencya zaś sądów w sprawach cywilnych zostanie rozszerzoną. Projekt w tym duchu wypracowało już ministeryum sprawiedliwości.

Konkurs. Towarzystwo lekarskie w Warszawie ogłasza jako temat do nagrody konkursowej: „Obecny stan wiedzy o wściekliźnie u ludzi w ogólności i o leczeniu zapobiegawczem tejże choroby metodą Pasteura w szczególności. Termin składania prac do 31 marca 1887 r.

Przysięga. W *Warsz. Dniewn.* czytamy: „W jednej z gubernij tutejszego kraju poruszoną została kwestya,

w jakim języku składana ma być przysięga przez prezydujących na zebraniach wyborczych członków Towarzystwa kred. ziemskiego. Prezes dyrekcyi głównej T. K. Z. po porozumieniu się z wyższą władzą administracyjną, objaśnił, że przysięga składaną być winna w języku rosyjskim.

Pielgrzymka. *Warszawskij Dniewnik* donosi, że w r. b. urządzoną będzie pielgrzymka religijna do Kijowa, w której przyjmie udział około 100 b. unitów w towarzystwie duchownych. Na koszta tej podróży wyznaczono z sum specyalnych odpowiedni fundusz.

Pomnik. Mieszkańcy 172 gmin, przeważnie z gub. kaliskiej, złożyli pewną sumę na wzniesienie pomnika cesarzowi Aleksandrowi II w Częstochowie, za co otrzymali Najwyższe podziękowanie.

Kolonizacya. Według danych, przytoczonych przez gazetę *Swiet*, od 1875 do 1882 przesiedliło się do Rosyi 164,306 poddanych niemieckich i 189,390 austryackich. W ostatnich latach napływ kolonistów zwiększył się jeszcze.

Bibliografia. Konstancya Skirmuntt. *Dzieje Litwy.* Warszawa.

— *Sprawozdanie meteorologiczne za miesiac styczeń*, wydane przez oddział warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Odmowa. Na podanie przemysłowców i kupców Radomia o założenie w tem mieście oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu nadeszła odpowiedź odmowna.

Uniwersytet w Czerniowcach liczy 42 profesorów i tylko 206 studentów, w tej liczbie 93 żydów.

Gabryki wyrobów bawełnianych w Królestwie istnieje 3,885 fabryk i warsztatów, zajmujących się tkaniem i przędzeniem bawełny, które liczą 22,857 robotników i produkcyę rocznie towaru za 35 milionów rubli.

Wezwanie. Prof. uniwersytetu dorpackiego J. Baudouin de Courtenay otrzymał zaproszenie na katedrę slawistyki w Wiednlu na miejsce słynnego Miklosicha.

Przemysł Warszawy. W 1885 r. liczono w Warszawie 332 fabryk, w których pracowało 14,354 robotników, produkcya przedstawiała wartość 28,819,039 rs. Z tej sumy na fabryki: maszyn i narzędzi rolniczych przypada 4,698,329 r., wyrobów metalowych 2,972,616 rs., srebrnych i platerowanych 685,832 r., przetworów chemicznych 592,060 rs., dystylarnie 2,999,665 rs., browary 2,101,494, młyny i piekarnie 1,333,982, fabryki tytoniu 2,413,383, garbarnie 4,995,288 rs. Przemysł rękodzielniczy liczył 5,801 majstrów, 14,083 czeladników i 20,137 uczniów. Największa cyfra rocznego obrotu przypada tu na rzeźników i wędliniarzy, bo 10,460,000 rs., dalej idą piekarze 6,625,000 rs., krawcy 4,135,700 i szewcy 2,992,100 rubli.

Towar literacki. Anglia wysyła rocznie pism i książek za 7,377,000 rubli metalicznych, sprowadza za 1,298,000, Niemcy wysyłają za 7,500,000 — sprowadzają za 2,561,000, Francya za 6,400,000 i 6,675,000, Austrya 2,838,000 i 6,293,000, Stany Zjednoczone 1,834,000 i 4,716,000, Rosya wreszcie wywozi za 130,000 i przywozi za 2,716,000 rubli.

Statystyka. Wykazy urzędowe pruskie podają, że w 1848 r. w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich polacy posiadali 3,792,764 morgi, niemcy zaś 2,422,000 m., w 1878 niemcy mieli już 3,393,581 m., polacy 2,812,160, t. j. stracili w ciągu lat 30 około miliona morgów.

— Ostatni spis ludności w Prusach wykazuje, że w ostatniem pięcioleciu (1880—1885 r.) w Westfalii ludność powiększyła się o 7,8%, w prowincyi nadreńskiej o 6,7%, podówczas gdy w Szląsku tylko o 2,58%, w Poznańskiem 0,58%, w Prusach wschodnich i zachodnich 0,15%, a w Pomeranii zmniejszyła się o 2,23%. Przyczyną tego jest wychodźtwo, w 1884 r. emigrowało z Prus 93,622 osób, w 1885 69,282. Najwięcej emigrantów wysyłają Pomerania, Prusy Zachodnie i Poznańskie. Z Księstwa w 1884 r. wydaliło się 9,784 osób, 1885 — 13,500. Sprawozdanie urzędowe powiada, że wychodźcami są przeważnie niemcy.

Zmarli. Robert Caze, utalentowany powieściopisarz francuski.

— Piotr, syn Karola, Szczebalski, redaktor *Warsz. Dniewnika.*

— Henryk Taylor, pisarz dramatyczny angielski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

G. E. Dziękujemy uprzejmie.

Kuryerowi warszaw. Ażeby nasz kąt odbicia mógł być równym kątowi padania Waszej domyślności, musielibyśmy wyrazić odpowiednią względem Panów wątpliwość. Niezduszeni szlachetnym przykładem, pozwalamy *Kuryerowi* zapieczętować spór hipotezą.. rycerską.

Stał. prenum. Drukują się w *Gazecie polskiej.*

Prenumerat. z Łęczyckiego. Z powodu braku miejsca obszerną odpowiedź zamieścimy w następnym numerze.

P. A. L. w Połt. O powst. gatun. rs. 4, O pochodź. człow. rs. 2, Dobór płciowy rs. 3, O wyrazie uczuć rs. 3 — bez przesyłki.

W. G. Na nieszczęście, jak się Pan dowiesz z tego dziełka (którego autorem nie jest Bartoszewicz, lecz Bartoszewski), według Rousseau, „obrażony przebacza czasem, obrażający — nigdy." Gdybyś Pan wybrał tę drogę, radzilibyśmy zmienić ją na uczciwszą, ponieważ jednak wybrał ją przeciwnik — trzeba spłacić lichwiarski dług opinii, kto nie ma odwagi się z nią procesować.

P. J. Fl. Powodem omyłki było opuszczenie kilku wierszy przypisku, skutkiem czego Jehuda b. Halevi przeniesiony został do wieku XIII zamiast XII i mianowany autorem *Tachkemonii.* Dziękując więc Panu za zwrócenie uwagi, odsyłamy morał, który o tyle był zbyteczny, że przecież dzieło Jehudy wspomniane jest w tekście Heinego.

OFIARY.

Dla biednych. Łopuszyński kop. 50, Bezimiennie rs. 1..

Na wpis dla uczniów. M. S. Z. rs. 1 kop. 20; Czapski 50 kop.

Do rozporządzenia redakcyi. Od U. D. N. 20 rs.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Марта 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**